SATYRA POLSKA.

SATYRA POLSKA

ANTOLOGIA

OPRACOWAŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ

JAN LEMAŃSKI

TOM II.

NAKŁAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA SYNÓW,
SKŁADY GŁÓWNE: E. WENDE I SPÓŁKA, WARSZAWA,
H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I S-KA, LWÓW.

KS. JAN GORCZYCZEWSKI.

(Um. 1823)

CNOTA PRAWDZIWE SZLACHECTWO. [1]

Szlachectwa, Mości Panie, za przesąd nie bierzem,
Zwłaszcza, gdy z cnotą ścisłem złączony przymierzem,
Potomek wielkich ludzi, idzie temi ślady,
Któremi dawniej jego chodziły pradziady.
Lecz to w oczach rozumu największą zdrożnością,
Gdy wyrodny następca przodków szlachetnością
Chce swą podłość nadstawiać i, nikczemna dusza,
Cudzą się sławą, czyny cudzemi napusza.
Chociażby przodków jego działanie waleczne
Swym opisem zajęły kroniki odwieczne;
Niech ród jego z Kruświcy, lub Gniezna wyrasta,
Niechaj się szczyci herbem zyskanym od Piasta;
Na cóż się, proszę, przyda ten zbiór próżnej chwały,
Jeśli nad szereg swoich dziadów okazały,
I nad pargamin, któren robactwo stoczyło,
Nic okazać nie może, coby go zdobiło?
Jeśli, choćby w swym rodzie miał pół-boga przodkiem,
Niecne postępki jego czynią go wyrodkiem,
A nie mając wielkiego w sobie nic prócz pychy,
Nie zna tylko zamtuzy, węgrzyny i wichy? [2])

---

[1]) Układ satyry według *Boileau*.

[2]) Wiechy—szynki „pod wiechą".

Patrząc jednak na niego, czy zblizka, czy zdala,
Gdy się w swojej zacności tak hardzie przechwala;
Zda się, że on sam panem; wszyscy jego słudzy,
I że z innej ulepion gliny, niż my drudzy:
Opiły swą wielkością, w tak głupim jest błędzie,
Że mu czołem bić winno i wszystko i wszędzie.
Otóż ja dziś bez względu na jego sapanie,
Chcę mu do rozwiązania podać zapytanie.
Powiedz, wielki rycerzu, w wydrwionym orderze,
Które też więcej cenisz, z tylu zwierząt zwierzę?
Na mój, mówisz, szacunek rumak wartkonogi,
Co nakształt wiatru lata nie znając ostrogi,
Co w turniejach zwycięża, co jest zawsze wprzódy,
I nie znuży się, setne wygrawszy zawody —
Prawda. Lecz gdy potomek Bajarda, Alfany,
Przez zwykłe, jak się dzieją w rodzajach odmiany,
Wyjdzie na lenia szkapę, sprawiedliwym zwrotem,
Jego los, dźwigać juki, lub wlec karę[1]) z błotem.
Przykład ten weź do siebie. Jakiemiż więc prawy
Wyciągasz[2]) czci dla uszłej wraz z przodkami sławy?
Nie zdurzysz mię błyszczydeł obcych przywłaszczeniem:
Cnota, cnota jedynem szlachectwa znamieniem.
Jeśli chcesz być zaszczytu przodków twoich godny,
Wskaż nam, żeś i w postępkach od nich niewyrodny,
Wskaż szacunek honoru, wskaż wstręt do niecnoty.
Umieszże słuszność cenić? unikać sromoty?
Wieszże jak czcić masz przyjaźń? szanować jej związki?
Znaszże, pełniszże ściśle twoje obowiązki?
Umiesz być dobrym mężem, dobrym ojcem, panem?
Wypłacaszże się z długu ojczyźnie twym stanem?

---

[1]) Wóz. [2]) Wymagasz.

Potrafiszże dla kraju ważne podjąć prace?
Lub spać z pałaszem w ręku w polu na kulbace?
Znam cię prawym szlachcicem pod temi znamiony,
Wtenczas krwią drogą sięgaj choć najpierwsze trony,
Rachuj tysiąc naddziadów; a gdyć mało na tem,
Przetrząśnij dzieje wszystkich co rządzili światem,
Weź na szczep rodu imię, które ci się zdaje,
Cezara, Aleksandra; na wszystko przystaję.
Próżnoby ostry krytyk chciał fałszu dowodzić:
Chociażbyś od nich nie szedł, godzieneś pochodzić.
Lecz nawet w prostym ciągu idąc od Alcyda;
Ród ten, gdyś ty nikczemnik, na nic się nie przyda.
Czuli na sławę twemi postępki zmazaną,
Liczne twe poprzedniki przeciw tobie staną.
A blask chwały ich, którą przyćmiły twe zbrodnie,
Do wskazania twej hańby starczy za pochodnię.
Próżno zbytnie chełpliwy krwią przez cię skażoną,
Chcesz się taić pod wielkich imion ich zasłoną.
Próżno się ojców twoich zasłaniasz honory,
Nie skryją twej sromoty świetnemi pozory.
Ja widzę pod tą maską, która cię przystraja,
Kłamcę, oszusta, zdrajcę, opoja, hultaja,
Głupca, który się sroży przez dumę zuchwałą,
I od pnia szacownego gałęź już spróchniałą.
Nadtom się pewnie uniósł, Muza zbyt się gniewa
I do szczerych prawd żółci zawiele przylewa.
Mówiąc z Jaśniewielmożnym, trzeba być dyskretnym.
Więc łagodniej zaczynam. Dom twój znam szlachetnym.
Lecz dawnyż on? Chcę wiedzieć. — Już od lat tysiąca —
Twa więc powieść trzydzieści pokoleń zatrąca.
To wiele. Ale prawdy tej są autentyki:
Tytułami twych przodków nadziane kroniki.

Z potopu zacny klejnot ich wybrnął do brzegu.
Lecz któż zaręczy, że w tak długim lat szeregu,
Mimo ich zacność, babki twoje znakomite
Były zawsze galantom wszystkim nieużyte?
Ach, jak ów dzień w złych skutkach dotąd czuć się daje,
W którym próżność skaziła dobre obyczaje.
W kolebce świata, póki ten przesąd nie władał,
Każdy w swej niewinności chwałę swą zakładał:
Równość praw, stanu, wszystkim swobodę jednała,
Zasługa i szlachectwo i berła dawała;
A nie pusząc się sławnych antenatów rodem,
Rycerz swej szlachetności kładł męstwo dowodem.
Z czasem dobrzy wzgardzeni, uczeni mniej godni,
Cnocie dano sławetność, uszlachcenie zbrodni.
A pycha tytułami próżnemi nadęta,
W imieniu szlachty na świat zaczęła kłaść pęta:
Stąd rosł honor fałszywy, gdy prawdziwy niszczał,
A każdy zamiast cnoty, tytułami błyszczał.
Więc podłość szlachtę wyższej chciała mieć natury,
Powymyślała tarcze, hełmy, armatury;
Z ciemnych wyrazów język powstał nowy wcale,
Ztąd poszły Salamandry, Cholewy, Rogale,
Zerwikaptury, Wędy, Czerwnie, Półkozice,
I wszystko co Paprocki zamknął w Heraldyce.
    Gdy tak głupstwo próżnością zdurzyło rozumy,
A skromność stać nie mogła obok chlubnej dumy,
Wtenczas dla utrzymania i stopnia i rodu,
Trzeba było na zbytek nie szczędzić dochodu.
Trzeba było mieć pałac kosztownie zdobiony,
I dwór swój dać rozpoznać przez burty, galony,
A wiodąc z sobą wszędzie pyszną kawalkatę,
Tracić po pańsku co jest więcej nad intratę.
Wkrótce pan, kiedy wątku zaczęło nie stawać,

Znalazł sekret, pożyczać, a nic nie oddawać.
I na pozwy, procesa, nie zważając wiele,
Mniej dbał, że go za drzwiami klęli wierzyciele.
Wreszcie, Jaśniewielmożny procesem znękany,
Siebie ujrzał w więzieniu, a dom zrujnowany.
Wysiedziawszy swój areszt dumny prozapista,
Myśli, czy jeszcze w bandzie łotrów nie skorzysta.
Frymarcząc swym klejnotem z takimi kamraty,
Przedał im podłym targiem swoje antenaty.
A gdy szuka przykrego nieszczęścia poprawy,
Zły los polepszył nieco utratą swej sławy .
Jeśli złoto nie w równym do krwi jest stosunku,
Próżno od czczych tytułów wyglądać szacunku:
Próżno chlubisz się przodki, i bądź tego pewnym,
Że golca nikt nie zechce uznać swoim krewnym.
Ten wiele wart co pełne liczy złota skrzynie.
I choćby tylko z burty chodził w karmazynie,
Choćby swych nazwisk w żadnym nie znalazł pisarzu,
Wielądek da mu tysiąc przodków w swym Herbarzu.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

(1791—1835)

EPIGRAMMATA I FRASZKI.

PRAWDA.

Prawdą, jak wodą święconą, skrapiają:
Jeżeli pokropisz w miarę,
Ukłonią się młode i stare;
Ale gdy nadto, wszystkie cię nałają.

DO PRAWDY.

Próżnaś jest od sumienia, od przyjaciół grzeczna,
Gorzka od wroga, ale skuteczna.

RADA.

Rada wielu
Zguba celu

CZAS.

Chociaż nie skończysz, ciągle rób,
Ciebie, nie dzieło porwie grób,
Choć tu dla czynów krótko nas:
Czas wszystko skończy, bo ma czas.

ROZKOSZ.

Pragnąłeś mię, więc miałeś, i znasz mię z imienia,
Chcesz-li poznać z przymiotów, zapytaj wspomnienia.

Z PARYŻA.

Dalej, dalej się potocz, podróżny mój wózku!
Bo tu, tak jak w Warszawie, wszystko po francusku.

POCIĄG.

Nim kto uwierzy zacnemu,
Sto głupców przejdzie ku złemu.

Z PRAKTYKI.

Więcej słaby niźli zły, czynnego utrudzi,
Tamten uśpi w nim ducha, którego ten wzbudzi.

PROFESORYZM.

Choćby wszyscy mądrzy byli:
Jedni drugich by uczyli.

DO PANI GADULSKIEJ.

Cztery umiesz języki — dla naszej ochłody
Wyjeżdżaj i trzy inne zagadaj narody.

STARE PRZYSŁOWIE.

Zamieć każdy przed swym progiem,
A pan burmistrz pójdzie z Bogiem.

DO KRYTYKÓW.

Do roboty nie ma was,
Do krytyki wszyscy wczas.

NASZE PIŚMIENNICTWO.

Do roboty — jeszcze czas,
Do krytyki — piórek las.

POLSKA EKONOMIKA.

Co chłopek zbierze, rozproszą panowie,
To pozbierają żydkowie.

JEDYNY SPOSÓB.

Fałsz nie wie że jest fałszem, na wszystko się waży,
Nie walcz z nim, ale prawdę postaw ma na straży.

NAPOMKNIENIE.

Błąd, każdy z wierzchu napadnie,
Lecz dobre, kryje się na dnie.

JÓZEF DYONIZY MINASOWICZ.

(1792—1849)

NA LENIWCÓW.

Kto nie sieje, nie orze, niech się nie spodziewa
Żniw z roli; ni owocu, kto nie szczepi drzewa.
Tak, kto ręce opuści przez lenistwa zbytek,
Na podobny niech czeka z próżniactwa pożytek.

NAŚLADOWCA.

Niechaj *obcych* utworów *naśladowca* słucha,
Własny twór jest żywiołem dla *twórczego* ducha.

GENIALNOŚĆ.

Jasny eter, a jednak w głębi nie przebyty,
I choć jawny dla oka, przed rozumem — skryty.

USTAWA NATURY.

Tak będzie, przyjacielu, i tak zawsze było:
Prawidło wspiera niemoc, skutek chodzi z siłą.

RÓŻNE POWOŁANIE.

Miliony czuwają, by plemię istniało:
Coby ludzkość szczepili — jakże tych jest mało.
Krocie ziarn prószy jesień: w owoc się obraca
Ledwo jedno, a reszta do żywiołu wraca.
Ale choć jedno zejdzie: to jedno co wchodzi,
Żywy z siebie świat cały wiecznych tworów rodzi.

DWA PŁUGI.

Nad wieczorem, pod szopą oglądasz dwa pługi;
Jeden tam z dawna leżał, z pola wrócił drugi.
Toż samo w nich żelazo, ten sam majster kował: —
Pordzewiał, ten co leżał; jaśniał — co pracował.

MĄDROŚĆ I ROZTROPNOŚĆ.

Chcesz-li na szczyt mądrości w górnym wzbić się pędzie,
Ośmiel się, choć rozwaga przyganiać ci będzie.
Ona tylko brzeg widzi, co go teraz miniesz,
Nie sięgnie, dokąd lecisz, gdzie śmiały zawiniesz.

CNOTA.

Cnota co jest? co znaczy cnota? zkąd się wzięła?
Wie nie jeden. Nie umie wcielić jej w swe dzieła.

RZĄD NAJLEPSZY.

Czem się szczyci rząd dobry? Tem, co i kobieta:
Gdy nikt o nich nie mówi, już to ich zaleta.

MOJA WIARA.

Jakiej jestem religii? Wymień je! — Wymienię.
— Z tych żadnej. — Czemu żadnej? — Zbyt religię cenię.

KLUCZ.

Patrz na drugich postępki, gdy siebie znać żądasz;
Wzajem, zrozumiesz drugich, gdy w twe serce wglądasz.

ANTONI GORECKI.
(1787—1861)

DYABEŁ I ZBOŻE.

Gdy Adam coś tam bardzo zgrzeszywszy podobno,
Z swą połowicą nadobną,
Musiał był z raju uchodzić,
Bóg, który umie słuszność z litością pogodzić,
Stworzył zboże i wszędzie po drogach im rzucił.
Widząc to dyabeł bardzo się zasmucił.

Przejrzał on bowiem miłosierdzie boże,
Że to z tego chleb być może,
Że się znajdą ludzie potem,
Którzy gardząc dyabła złotem,
Za narzędzie ucisku nie dadzą się użyć,
Woląc o suchym chlebie świętej prawdzie służyć.

A więc pobiegł drogą skrytą,
I toczą wojnę z miłościwym Bogiem,
Wszystką pszenicę, jęczmień, owies, żyto,
Zagrzebał pilnie do ziemi swym rogiem.
Mniemał że wiecznie pozbawił nas chleba,
Ale właśnie to zrobił co było potrzeba,
Z podziwem jego ziarno z ziemi wschodzi,
I po dziś dzień chleb się rodzi.

O wy, co w więzach trzymając narody
Przyjaciół prawdy, światła i swobody,
Grzebiecie z katowskimi pomocniki swemi,
Albo w wnętrznościach zamykacie ziemi.

Zniszczyć dar Boży, wszak o to wam chodzi,
Ale się na nic złość wasza nie przyda,
Wkrótce obfity plon wolność wyda,
I właśnie z tych męczeńskich ziarnek się urodzi.

PIĘKNE WYDANIE.

Dzieł swych wydanie zrobił pan Krzysztof wspaniałe
I prawda, znaczny na to wyłożył kapitał;
Lecz mniejsza, że wydatki już skończone całe,
Trzebaż jeszcze zapłacić, żeby to kto czytał.

WOLNOŚĆ CHŁOPÓW W POLSCE.

Co prawda to nie grzech.

„Masz klatek wiele, kanarku kochany,
Z jednej do drugiej lataj na przemiany...
— „Okno mi otwórz! — „O to chcesz za siła!"
Taka w królestwie wolność chłopów była,
A w Litwie gorzej, żal się miły Boże,
Z jednej tam klatki wiecznie wyjść nie może.

ZERA.

Był przed zerami Jeden postawiony,
Ztąd się robiły miliony;

ZIARNKA PSZENICZNE.

Leżąc na drodze ziarnko pszeniczne wołało:
„Nie jedźcie tu, szanujcie, przecież ja pszenica!"
Nikt nie uważał, każdy jechał śmiało
Nareszcie jeden powie jej woźnica:
„Jakim chcesz względ dla siebie wyjednać wyrazem,
Gdyście po całej drodze rozsypane?
Trzymajcie się, ziarnka, razem
To będziecie szanowane.

ALEKSANDER FREDRO.

(1793—1876)

WEREDYK.

Powiedział ktoś, nie wiem kto, ale słowa święte:
Że gdyby wszystkie prawdy miał w garści zamknięte,
Nie chciałby jej otworzyć. Przeciwne ma cele,
Co nazwę weredyka otrzymał w udziale,
Co zewsząd sieje wieści niedościgłe ziarnka,
Weredyk, moi państwo, dziwna to poczwarka —
Jest w nim coś z osy, jeża, pawia i papugi,
Jego głos zawsze cichy a języczek długi;
Namiętnie śpiewa prawdę, lub co prawdą mniema,
Ale nigdy przyjemnie — na to głosu nie ma,
Przeciwnie — to, co drażni, to co boli, lubi,
A zwłaszcza bezwzględnością nad wszystko się chlubi:
— Powiedziałem mu prawdę, aż mu poszło w pięty! —
Cały też jego rozum w tych piętach ujęty.
Ale owa tak prawda, tak ostra, tak tęga,
Czyliż plotki, a czasem oszczerstwa nie sięga?
Weredyk się nie wzruszy, jakiebądź tam skutki,
Obowiązek przyjaźni; prawda bez ogródki!
Weredyk zawsze staje w przyjaźni ornacie,
Czyli zwiastuje klęskę, czy płacze po stracie;
Nie lęka się wyjawić najdotkliwszych wieści,
Zagłębia zimną sondę w samo dno boleści,

Ani się zastanowi, czy potem go stanie
Na kropelkę balsamu przy otwartej ranie?
Choćby trochę ułudy, choć trochę nadziei,
Gdy słońce już nie grzeje na życia kolei;
Choćby tylko snu trochę nie zmokłego łzami,
Gdzie kto na zgliszczach szczęścia zadrzemie czasami.
Dlaczego, na co, po co te tysiączne groty
Niewczesnej trwogi, żalu, darem mej tęsknoty?
Na to jest tylko jedno słowo odpowiedzi:
Że w każdym weredyku jakiś dyabeł siedzi,
Co w swej pychy rozkosznej kąpiąc się kąpieli,
Mniemanych swych przyjaciół swym ukropem dzieli.
Od takich prawdolubnych świdrów w każdej porze
I w każdcm stanowisku — uchowaj nas Boże!

PAN GELDHAB.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

PAN GELDHAB, KOMISANT, KRAWIEC, TAPICER, kupczyki, kamerdynery, lokaje.

Geldhab *(do tapicera)*. A, na mój honor, dobrze,
[kształtnie i gustownie;
Z firanek kontent jestem, kontent niewymownie;
Haftów, frandzli, muślinu suto i bogato,
Tak u mnie być powinno, Geldhaba stać na to.
Przysięgam na mą duszę i majątek stawię,
Że ledwie jest podobnych dwie w całej Warszawie.

Komisant *(z papierami w ręku).* Panie...
Geldhab *(do krawca).* Cóż, liberya dla dworu gotowa?
Krawiec. Oto jest frak na próbę...
Geldhab. A nasza umowa?
Waszeć widzęś zapomniał, jaka była zgoda?
Krawiec. I owszem, wszak zrobiłem jak najnowsza [moda.
Geldhab. Moda z jednym galonem? szalony! szalony!
Cóż dwór pański oznacza, jeśli nie galony?
Krawiec. Jednak to gust najlepszy.
Geldhab *(śmiejąc się).* Takie dobre gusta
Pewnie tacy stanowią, których kieszeń pusta;
Gdzież złotem kto przesadzi? do twarzy mu wszędzie;
A więc galon sług moich niechaj w troje będzie.
Krawiec. Dobrze.
Geldhab. By sutą była, jak tylko być może.
Cemuż być niema, powiedz, kiedy na to łożę?
(Krawiec odchodzi.—Geldhab spogląda na papiery, potem wokoło).
Komisant. Wielmożny...
Geldhab. Ale zaraz, jakżeś uprzykrzony.
(do kamerdynera)
Dowiedz się, czy w gazecie będę umieszczony?
Chciałbym tam mieć wyraźnie artykuł ten cały:
(dając kartkę, czyta).
„Jaśnie Wielmożny Geldhab, dziedzic Samochwały,
„Przybyszowic, Grypsowa, Łówki et cetera",
Et cetera pamiętać! „który równie wspiera
(z przyciskiem)
„Licznych swoich poddanych, jak wszystkich dokoła,
„Których tylko w niedoli wynajdywać zdoła,
„Raczył dać na spalone Bamberga przedmieście
„Z zwykłą hojnością złotych polskich tysiąc dwieście",

Komisant. Gdy dobroć twoja, Panie, tak dla obcych [skora,
Siostra, co w niedostatku, od półroku chora,
Bez wątpienia, próśb swoich skutkiem się ucieszy,
Gdy Pan procent przyśpieszyć...
Geldhab. Nic Pan nie przyspieszy.
Komisant. Ten list przekona, w jakiem strapieniu [zostaje.
Geldhab *(z niecierpliwością)*. Cóżto, nie wiesz, że [córkę za Księcia wydaję?
Gdy mnie fraszkami nudzić ułożyłeś sobie,
Myśleć o nich nie będę w tej tak wielkiej dobie,
Mając innych ważniejszych zatrudnień tysiące;
I termin też wypłaty aż za dwa miesiące.
Napisz Waćpan, że bardzo żałuję niebogi,
Ale pomódz nie mogę... bywaj zdrów... czas drogi.

(odwraca się)

Komisant. Wszakto siostra!
Geldhab. Wiem o tem.
Komisant. Chora.
Geldhab. To źle.
Komisant. W nędzy.
Geldhab. Ależ mój Panie, nudzisz: że nie dam pie- [niędzy,
Wszak ci już powiedziałem i powtarzam jeszcze.
Kłaniam... *(obróciwszy się, do siebie)*
Gdzież tę kanapę, te krzesła umieszczę?

(pokazuje kupczykom, gdzie mają w drugim pokoju postawić. Kupczyki stawiają i odchodzą, tymczasem komisant mówi).

Komisant. Za powinny uczynek nie byłby w gazecie,
I na cóż być uczciwym, jeżeli w sekrecie?

Nie dojdzie, niech kto, jak chce, złoci się i puszy,
Prawdziwego szlachectwa bez szlachetnej duszy.

(Komisant odchodzi).

Geldhab *(dając klucze kamerdynerowi).* Idź, wynieś [na stół wszystkie srebra i ozdoby.

Kamerdyner. Wszystkie? Wszakże mam nakryć na [cztery osoby?

Geldhab. Cóż z tego?

Kamerdyner. Że nie zmieszczę i w największym [tłoku.

Geldhab. Co na stole nie zmieścisz, to stanie na boku.
Czegóż się patrzysz?... Jakże, czym na to kupował,
By nikt ich nie widział? co? będę srebra chował!
Szalony, hm, nie stawiać! chować! to mnie bawi.
Kogo nie stać na srebra, niechże ten postawi!
Lux, lux u mnie być musi, zbytek, przepych wszelki...

(do odchodzącego kamerdynera).

A resztki wina scedzić do jednej butelki.

Lokaj *(wchodząc).* Książę Rodosław.

Geldhab. Książę? Niech wnijdzie łaskawie.
Za chwilkę się ubiorę.

(Na stoliku stojącym na przodzie, rozkłada książkę i wraca kilka razy, przypatrując się i poprawiając; kładzie złotą tabakierę i chustkę).

Tak i to zostawię *(odchodzi).*

ADAM MICKIEWICZ.

(1798—1855)

Z „DZIADÓW". KRUK *(chłop)* MÓWI DO PANA.

Nie lubisz umierać z głodu?
A pomnisz, jak raz w jesieni
Wszedłem do twego ogrodu?
Gruszka dojrzewa, jabłko się czerwieni:
Trzy dni nic nie miałem w ustach,
Otrząsnąłem jabłek kilka,
Lecz ogrodnik, skryty w chrustach,
Zaraz narobił hałasu.
I poszczuł psami, jak wilka.
Nie przeskoczyłem tarasu,
Dopędziła mię obława;
Przed panem toczy się sprawa,
O co? o owoce z lasu,
Które na wspólną wygodę
Bóg dał, jak ogień i wodę.
Ale pan gniewny zawoła:
Potrzeba dać przykład grozy,
Zbiegł się lud z całego sioła,
Przywiązano mię do sochy,
Zbito dziesięć pęków łozy;

Każdą kość, jak z kłosa żyto,
Jak od suchych strąków grochy
Od skóry mojej odbito,
Nie znałeś litości, panie...

PAN BARON.

Gdzie dobrze, tam ojczyzna. A gdzież kiedy było
Komu lepiej, gdzie kiedy komu się przyśniło
To wszystko, w co pan Baron na jawie opływa?
Przychodzień, dóbr książęcia jak swoich używa,
I wkrótce pojmie wdowę, panią dóbr, za żonę;
A z nią księstwo, i hrabstwa dwa uksiążęcone,
I ten zamek wspaniały, tak sławny z piękności
Po świecie całym, że doń co rok mnóstwo gości
Z Anglii, z Niemiec, z Polski przybywa tłumami,
Jakby na miejsce jakie słynące cudami.
Nie dziw tedy, że Baron, budząc się w pościeli
Edredenowych puchów, miększej od kąpieli,
I z za kotar indyjskich wychylając głowę,
Powitał temi słowy słońce południowe:
„Gdzie dobrze tam ojczyzna!“

W PÓŁ JEST ŻYDEM...

Wpół jest żydem, wpół polakiem,
Wpół jakubinem, wpół żakiem,
Wpół cywilnym, wpół żołdakiem,
Lecz za to całym łajdakiem.

KOMAR.

Komar nie wielkie licho, lecz bardzo czupurne,
Wyciągnąwszy pyszczek i skrzydła poczwórne
I żądełko krwi chciwe, latał ponad śpiącym
I krwi, krwi, krwi wołał głosem bzykającym.
Drżyj, człowieku! wybiła ostatnia godzina,
Jestem Marat owadów, lotna gilotyna.
Aż przebudził się człowiek, czatował po głosie
I za pierwszem ukłóciem paf, zabił na nosie,
Szedł z nieboszczykiem w okno, ne mógł znaleźć śladów
Tej lotnej gilotyny, Marata owadów.
Człowiek, gniotąc go w palcach: Nie budź śpiących, bracie,
Atomie teroryzmu, owadów Maracie.
Kiedyś tak małe licho, nie rób tyle krzyku,
A kiedy chcesz ukąsić, kąsajże bez bzyku.
Jeśli ci krwi potrzeba, gdzie chcesz, nos mi wtykaj;
Tylko kiedyś tak mały, kąsaj, a nie bzykaj.

W DOMU BIŁ SIĘ...

W domu bił się hrabia z popem,
Kto z nich jest poczciwszym chłopem.
Pies z wieprzem bił się pod gankiem,
Kto z nich jest lepszym barankiem.
Pies i wieprz gryzą się z sobą,
Kto z nich jest trzody ozdobą.
Gryzła się kotka ze świnią,
Kto z nich w domu gospodynią?

DANAIDY.

Płci piękna! Gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Za haftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
Gdy do lubej gołębia posyłano w swaty!

Dzisiaj, wieki są tańsze a droższe zapłaty.
Ta której złoto daję, prosi o piosenki;
Ta której serce daję, żądała mej ręki:
Ta którą opiewałem, pyta czym bogaty.

Danaidy! Rzucałem w bezdeń waszej chęci
Dary! pieśni, i we łzach roztopioną duszę:
Dziś, z hojnego jam skąpy, z czułego szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę:
Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko— prócz [serca.

EXKUZA.

Nóciłem o miłostkach w rówienników tłumie;
Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:
Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali,
Nic innego nie czuje, lub śpiewać nie umie.

W dojrzalsze wchodząc lata, przy starszym rozumie,
Czemu serca płomykiem tak dziecinnym pali?
Czyliż mu na to wieszczy głos bogowie dali,
Aby o sobie tylko w każdej nócił dumie?

Wielkomyślna przestroga! Wnet z górnemi duchy
Alcejski chwytam bardon, i strojem Ursyna
Ledwiem zaczął przegrywać — aż cała drużyna

Rozpierzchła się unosząc zadziwione słuchy...
Zrywam struny, i w Letę ciskam bardon głuchy:
Taki wieszcz jaki słuchacz. Lecz przyjdzie godzina!

ŻONA UPARTA.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają straże
Nad rzeką. Niechno człowiek się pokaże
Co na afisze nie patrzy
I od korzenników bladszy,
Niedbale utrzewiczony,
I źle urękawiczony:
Myślą, że się chce topić;
A więc pełni zgrozy,
Ratują go od śmierci, a wiodą do kozy.

Taki to jakiś, po Sekwany brzegu,
Biegł przeciw wody. Żandarm zatrzymał go w biegu
I urzędownie pyta o powody,
Tego biegu przeciw wody.

„Nieszczęście! woła biedak, pomocy! ratunku!
Żona mi utonęła, żona iż tak rzekę
Wpadła mi w rzekę“.
A na to żandarm mu rzecze:
„O, praw hydrauliki nieświadom człowiecze!
Szukasz utopionego ciała w złym kierunku.
Ono z góry w dół płynie wedle praw przyrody,
A ty za żoną biegniesz przeciw wody“.

„Boć to ciało, rzekł szukacz, było w życiu dziwne,
Zawżdy wszystkiemu przeciwne:
I domyślać się mam pewne powody,
Że popłynęło z rzeką przeciw wody".

GOLONO, STRZYŻONO.

U nas, kto jest niby chory
Zwołuje zaraz doktory:
Lecz czując się bardzo słaby,
Prosi chłopa albo baby.
Ci ze swego aptekarstwa,
Potrafiają i podagrze
I chiragrze i głuchotom,
I suchotom i głupotom
Radzić — a i u nich wszakże,
Nie masz na upór lekarstwa.

Mieszkał Mazur blizko Zgierza,
Któremu zginęła suka,
Straż domostwa i śpichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się w tydzień potem.
Ledwie poznał, że to ona:
Bo była wpół ogolona.

„O zbóje! żeby ją skryli,
Używają takich figli,
Że biedaczkę wygolili!..."
„Powiedz raczej, że ostrzygli

— Robi mu uwagę żona —
Bo psów nie golą lecz strzygą“.
„A no patrzajcież bo mi go,
— Odezwie Mazur z przekąsem —
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice,
Chcesz nauczać nas pod wąsem,
Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan co mu łysina
Przyświeca się jak ta psina,
Myślisz, że jest postrzyżona?...“
„A wąsiki ekonoma,
— Odpowiada zaraz żona —
Co mu wiszą jak u sosny,
A błyszczą jak namaszczone,
Sąć golone czy strzyżone?...“
„Bierz ci licho twego pana,
I pana i ekonoma,
Dobrze, że jest suka doma.
Choć też szpetnie ogolona“.
„Toć i jam się ucieszyła
— Odpowiada zaraz żona —
Że się suka powróciła,
Choć też szpetnie ostrzyżona“.
„Głupiaś z twemi nożycami!“
„I ty z twojemi brzytwami!...“
„Że golona, przypatrz że się!“
„Że strzyżona pokaże się“...

Tak się kłócą mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk wkoło się rozlega:
Ogolona! ostrzyżona!

Idzie sąsiad: „Niechaj przyjdzie,
Niech się wpatrzy i przekona".
Idzie żyd: „powiedzno, żydzie,
Czy golona? czy strzyżona?"
Od żyda aż do plebana,
Od plebana aż do pana,
Sprawa zapieczętowana;
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się ksiądz i pan zgodził:
Że wygrana mężka strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.
Po drodze chłop pyta żony:
Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zaklęta,
U progu, suka ich wita:
„Pójdź tu moja ogolona!"
Woła mąż. A kobieta:
„Pójdź tu moja ostrzyżona!"

Mazur wściekły już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał;
Tylko wziąwszy pod rękawki,
Wlecze ją wprost do sadzawki,
I topi jak kadź ogórków.
Ona nie nawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On, trzymając za ramiona,
Gnębi, krzycząc: „A no teraz:
Czy golona, czy strzyżona?"
Biedaczka, ze śmiercią w walce,
Czując skonu paraliże,

Wytknęła tylko dwa palce;
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok, uciekł z wody,
Ona poszła do gospody;
On się puścił aż do Zgierza,
I tam przystał na żołnierza.

ZALOTY.

Póki córeczki opiewałem wdzięki;
Mamusia słucha, stryj czyta;
Lecz skorom westchnął do serca i ręki;
Ja słucham, cały dom pyta.

Mama o wioskach i o dworach gada,
Pan stryj o rangach, dochodach;
A pokojowa służącego bada
O mych w kochaniu przygodach.

Mamo, stryjaszku! Jedną tylko duszę
I na Parnasie mam włości;
Dochodów piórem dorabiać się muszę,
A ranga — u potomności.

Czym dawniej kochał? Ciekawość jałowa!
Czy kochać mogę? Dowiodę:
Porzuć lokaja, kotka, pokojowa,
Przyjdź w wieczór na mą gospodę.

TRÓJKA KONI.

Z poetów Litwy, tylko jeden bard Antoni
Miał trójkę koni.
Pamięć ich na ówczesnym została Parnasie
Tak żywa, że dziś mógłbym zrobić ich rysopis.
Nie dziw tedy, że gdy się wczoraj rozgadało
O dawnych rzeczach i o owym czasie,
Zapytałem: „Co się też z temi końmi stało?"
Na to mi odpowiedział w te słowa Bajkopis:

W przeznaczeniach tych koni była jakaś tajnia.
Postawiono je razem na obroku:
A po roku
Jeden drugiego nie mógł znieść ani widoku.
Chociaż żłób długi i przestronna stajnia,
Wszędzie im ciasno, wieczne parskania i bitki.
Musiałem w końcu sprzedać każdego z osobna.
Ale cóż stąd? Wyroku zmienić nie podobna:
Znowu je kacap jakiś sprzągł do swej kibitki!
Ledwie z miejsca, natychmiast wszystkie się ofukły.
„Ej wy chochołskorodzie! — rżał Lezgin wysmukły—
Nie biesuj! Wiedz, że sobie nie dam plwać w wędzidła!"
A Mazur: „Wej cierachy! Dyć i my nie bydło;
Nie targajta, bo żgniema, że będzieta chramać!"
Na to kozak pieniąc się: „Ciszej, ty lachska mać!
I ty mużyku! Niechno staniemy przy żłobie,
Oj dam ja wam!" A oni: „Oj damyż my tobie!"
Nuż wierzgać jak w najlepsze. A kacap do bicza,
Jak utnie z całej ręki w bok Chochołowicza,
Potem z kolei raz wraz po Lezgu, po Chłopie:
Nie było czasu brykać. Rwą w pełnym galopie
Trzy mile ukraińskie ku pocztowej szopie,

Szczęśliwe, że tam wreszcie zatrzymawszy sanki,
Kacap dał im odetchnąć i wsypał trzęsianki.
Jadły razem, o kłótniach nie było i wzmianki.
I tak sekret tych koni odkrył się przed światem:
Kłócą się nad obrokiem, godzą się pod batem.

DZWON I DZWONKI.

Dzwonki razu jednego świegotały z wieży
Do dzwona, który w piasku pod kościołem leży:
„Widzisz, bracie, choć mniejsi, jak śpiewać umiemy;
Cóż tobie po wielkości, gdyś głuchy i niemy?“
„O głośni braciszkowie! — dzwon smutny zaszeptał,
Dziękujcie plebanowi, że mię w piasek wdeptał.“

PCHŁA I RABIN.

Pewien rabin, w talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy, —
Dalej czatować — złowił. Srodze przyciśnięta,
Kręcąc się, wyciągając główkę i nóżęta:
„Daruj, rabi, mądremu nie godzi się gniewać.
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać.“
„Krew za krew! — wrzasnął rabin — Beliala płodzie!
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówki mają śpichlerze, pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje;
Ty się jedna śród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczko, tem szkodliwsza, że cudze wypijasz.“
Zakończył i gdy więźnia bez litości dłabi,
Pchła, konając, pisnęła: „A czem żyje rabi?“

PRZYJACIELE.

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jej przykład w Oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek kum Leszka, i kum Mieszka Leszek.
Z tych, co to: gdzie ty tam ja, co moje to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje;
Słowem, tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono nie wiele:
Rzekłbyś dwójduch w jednem ciele.
O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zuzul i krakań gawronich:
Alić ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzięciołek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: „Kumie!"
Kum już wylazł na wierzchołek.
Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz; a już niedźwiedź kroczy,
Trafia na czoło, maca: jak trup leży;
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nieświeży.
Więc mruknąwszy ze wzgardą odwraca się w knieje,
Bo niedźwiedź Litwin miąs nieświeżych nie je.
Dopieroż Mieszek odżył... „Było z tobą krucho!
— Woła kum — szczęście Mieszku, że cię nie zadrapał!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?"
„Powiedział mi, rzekł Mieszek, przysłowie niedźwiedzie:
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie".

MĘDRCY.

W nieczułej, ale niespokojnej dumie
Usnęli mędrcy. Wtem odgłos ich budzi:
Że Bóg widomie objawił się w tłumie,
I o wieczności przemawia do ludzi.
„Zabić go — rzekli — spokojność nam miesza!...
Lecz zabić we dnie? obroni go rzesza".

Więc mędrcy w nocy lampy zapalali,
I na swych księgach ostrzyli rozumy
Zimne i twarde, jak miecze ze stali,
I wziąwszy z sobą uczniów ślepych tłumy,
Szli łowić Boga. A zdrada na przedzie,
Prostą ich drogą, ale zgubną wiedzie.

„Tyś to?" — krzyknęli na Maryi syna;
„Jam" odpowiedział, i mędrcy pobladli;
„Ty jesteś?" — „Jam jest". — Służalców drużyna
Uciekła w trwodze, mędrcy na twarz padli;
Lecz widząc, że Bóg straszy a nie karze,
Wstali przelękli, więc srożsi zbrodniarze.

I tajemnicze szaty z Boga zwlekli,
I szyderstwami ciało jego siekli,
I rozumami serce mu przebodli:
A Bóg ich kocha i za nich się modli!
Aż gdy do grobu duma Go złożyła,
Wyszedł z ich duszy, ciemnej jak mogiła.

Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie
Kielich swej pychy. Natura w rozruchu

Drżała o Boga. Lecz pokój był w niebie:
Bóg żyje, tylko umarł w mędrców duchu.

PAN TADEUSZ.

(FRAGMENTY).

„Dobrze, mój Tadeuszu", (bo tak nazywano
Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano
Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził),
„Dobrze, mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził
Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele"...

Tadeusz chociaż liczył lat blizko dwadzieście
I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkiem mieście,
Miał za dozorcę księdza, który go pilnował
I w dawnej surowości prawidłach wychował.
Tadeusz zatem przywiózł w strony swe rodzinne
Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne;
Ale razem niemałą chętkę do swawoli.

Z góry już robił projekt, że sobie pozwoli
Używać na wsi długo wzbronionej swobody;
Wiedział, że był przystojny, czuł się rzeźki, młody,
A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie.
Nazywał się Soplica: wszyscy Soplicowie
Są jak wiadomo, krzepcy, otyli i silni,
Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni.

Tadeusz od przodków swoich nie odrodził:
Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził,
Tępy nie był, lecz mało w naukach postąpił,
Choć stryj na wychowanie niczego nie skąpił;

On wolał z flinty strzelać, albo szablą robić.
Wiedział, że go myślano do wojska sposobić,
Że ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;
Ustawicznie do bębna tęsknił, siedząc w szkole.

Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety
Ściągnęły wzrok sąsiadki, uważnej kobiety.
Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,
Jego ramiona silne, jego pierś szeroką,
I w twarz spojrzała, z której wytryskał rumieniec,
Ilekroć z jej oczyma spotkał się młodzieniec:
Bo z pierwszej lękliwości całkiem już ochłonął
I patrzył wzrokiem śmiałym, w którym ogień płonął,
Również patrzyła ona: i cztery źrenice
Gorzały przeciw sobie, jak roratne świece.
Pierwsza z nim po francusku zaczęła rozmowę.

PODCZASZYC.

„Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecie,
Kiedy do ojca mego, w Oszmiańskim powiecie,
Przyjechał pan Podczaszyc na francuskim wózku,
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.
Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem.
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stanęła Podczaszyca dwukolna dryndulka,
Która się po francusku zwała karyulka:
Zamiast lokajów w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach niemczysko chude nakształt deski;
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnemi klamrami trzewiki,
Peruka z harbajtelem, zawiązanym w miechu.
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,

A chłopi żegnali się, mówiąc: że po świecie
Jeździ wenecki dyabeł w niemieckiej karacie.
Sam Podczaszyc jaki był, opisywać długo;
Dosyć, że się nam zdawał małpą lub papugą
W wielkiej peruce, którą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie,
Milczał; boby krzyczała młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progresy, że zdradza!
Taka była przesądów owoczesnych władza!

„Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstytuować.
Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni
Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi.
Choć o tem dawno w Pańskim pisano zakonie
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
Nauka dawna była, szło o jej pełnienie!
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.
Podczaszyc, mimo równość, wziął tytuł Markiza.
Wiadomo, że tytuły przychodzą z Paryża,
A natenczas tam w modzie był tytuł Markiza.
Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,
Tenże sam Markiz przybrał tytuł Demokraty;
Wreszcie, z odmienną modą, pod Napoleonem,
Demokrata przyjechał z Paryża Baronem;
Gdyby żył dłużej, może nową alternatą
Z Barona przechrzciły się kiedyś Demokratą.
Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

TELIMENA.

Telimena sądziła malowania próby
Tonem grzecznej, lecz sztukę znającej osoby;
Skąpa w pochwały, lecz nie szczędziła zachętu:
„Brawo, rzekła, winszuję, niemało talentu,
Tylko pan nie zaniedbuj; szczególniej potrzeba
Szukać pięknej natury! O! szczęśliwe nieba
Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!
Wy klasyczne Tyburu spadające wody!
I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!
To, Hrabio, kraj malarzów! U nas, żal się Boże!
Dziecko muz, w Soplicowie oddane na mamki,
Umrze pewnie. Mój Hrabio, oprawię to w ramki,
Albo w album umieszczę do rysunków zbiorku,
Które zewsząd skupiałam: mam ich dosyć w biurku".

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach i wiatrach wonnych i skał szczytach,
Mieszając tu i owdzie, podróżnych zwyczajem,
Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.

MAJOR.

Ten Major, Polak rodem z miasteczka Dzierowicz,
Nazywał się (jak słychać) po polsku Płutowicz,
Lecz przechrzcił się; łotr wielki, jak się zwykle dzieje
Z Polakiem, który ....

Więc Major, syt i wesół, w krześle się rozwalił,
Dobył fajkę, biletem bankowym zapalił
I, otarłszy śniadanie z ust końcem serwety,
Obrócił śmiejące się oczy na kobiety
I rzekł: „Ja piękne panie, lubię was jak wety!
Na me szlify majorskie: gdy człek zjadł śniadanie,

Najlepszą jest po zrazach zakąską gadanie
Z paniami tak pięknemi jak wy, piękne panie!
Wiecie co? grajmy w karty? w welba-cwelba? w wista?
Albo pójdźmy mazurka? he! do dyabłów trzysta!
Wszak ja w jegierskim pułku pierwszy mazurzysta!"
Zaczem ku damom bliżej chylił się wygięty
I puszczał na przemiany dym i komplementy...

A wzmagał się w nim coraz tańcowania zapał.
Rzucił fajkę i rękę Telimeny złapał:
Chciał tańczyć, lecz uciekła; więc podszedł do Zosi,
Kłaniając się, słaniając, do mazurka prosi:
„Hej! ty Ryków, przestańże tam trąbić na fajce;
Precz fajka, wszak ty dobrze grasz na bałabajce,
Widzisz-no tam gitarę, pódź-no, weź gitarę
I Mazurka! Ja Major idę w pierwszą parę".
Kapitan wziął gitarę i struny przykręcał,
Płut znowu Telimenę do tańca zachęcał.

„Słowo majorskie, Panno: nie Rosyaninem
Jestem, jeżeli kłamię; chcę być sukinsynem,
Jeżeli kłamię; spytaj, a oficerowie
Wszyscy poświadczą, cała armia to powie:
Że w tej drugiej armii, w korpusie dziewiątym,
W drugiej pieszej dywizyi, w pułku pięćdziesiątym
Jegierskim, major Płut jest pierwszy mazurzysta.
Pódźże, panienko! nie bądź taka narowista!
Bo ja po oficersku ukarzę panienkę..."
To mówiąc skoczył chwycił Telimeny rękę
I szerokim całusem w białe ramię klasnął:
Gdy Tadeusz, przypadłszy z boku, w twarz mu trzasnął.
I całus i policzek ozwały się razem,
Jeden za drugim, jako wyraz za wyrazem.

Major osłupiał, oczy przetarł, z gniewu blady
Zawołał: „Bunt! buntownik! i dobywszy szpady,
Biegł przebić.

HRABIA.

„Brawo! rzekł Hrabia, plan twój gotycko-sarmacki
Podoba mi się lepiej niż spór adwokacki.
Wiesz co? na całej Litwie narobim hałasu
Wyprawą, niesłychaną od dawnego czasu,
I sami się zabawim. Dwa lata tu siedzę,
Jakąż bitwę widziałem? z chłopami o miedzę!
Nasza wyprawa przecież krwi rozlanie wróży.
Odbyłem taką jedną w czasie mych podróży.
Gdym w Sycylii bawił u pewnego księcia,
Rozbójnicy porwali w górach jego zięcia
I okupu od krewnych żądali zuchwale;
My zebrawszy na prędce sługi i wassale,
Wpadliśmy; ja dwóch zbójców ręką mą zabiłem,
Pierwszy wleciałem w tabor, więźnia uwolniłem.
Ach, mój Gerwazy! jaki to był tryumfalny,
Jaki piękny nasz powrót, rycersko-feudalny!
Lud z kwiatami spotykał nas; córka książęcia,
Wdzięczna zbawcy, ze łzami wpadła w me objęcia.
Gdym przybył do Palermo, wiedziano z gazety,
Palcami wskazywały mię wszystkie kobiety,
Nawet wydrukowano o całem zdarzeniu
Romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu.
Romans ma tytuł: „Hrabia czyli tajemnice
Zamku Birbante-rokka. Czy są tu ciemnice
W tym zamku?" — „Są, rzekł Klucznik ogromne piwnice.
Ale puste! bo wino wipili Soplicę",,

„Mój Hrabio, przerwał Sędzia, poco chcesz konie-
[cznie
Wyjeżdżać? Wierz mi, w twoich dobrach siedź bez-
[piecznie.
Szlachtę biedną rząd mógłby odrzeć i przechłostać,
Ale ty, Hrabio, pewien jesteś cały zostać:
Wiesz, w jakim rządzie żyjesz, jesteś dość bogaty,
Wykupisz się od więzień połową intraty".

„To niezgodna, rzekł Hrabia, z moim charakterem!
Nie mogę być kochankiem: będę bohaterem;
W miłości troskach sławy zwę pocieszycielki,
Gdy jestem nędzarz sercem będę ręką wielki".

Telimena pytała: „Któż Panu przeszkadza
Kochać i być szczęśliwym?" Mych przeznaczeń władza,
Rzekł Hrabia; ciemność przeczuć, które ruchem tajnym
Rwą się ku stronom obcym dziełom nadzwyczajnym.
Dziś otwiera się nowa i dla mnie epoka!
Brzmiała odgłosem broni mej Birbante-rokka:
Oby ten odgłos równie w Polsce się rozszerzył!"
Skończył i dumnie szpady rękojeść uderzył.

RADA.

Zatem dwaj Terajewicze
I czterej Stypułkowscy i trzej Mickiewicze
Krzyknęli: „Wiwat równość!" stojąc za Skołubą.
Tymczasem Buchman wołał. „Zgoda będzie zgubą!"
Kropiciel krzyczał: ‚Bez was obejdziem się sami:
Niech żyje nasz marszałek, Maciek nad Maćkami!
Hej do laski!" — Dobrzyńscy krzyczą: „Zapraszamy!"
A obca szlachta woła w głos: „Nie pozwalamy!"

Roztrycha się tłum, na dwie kupy rozdzielony,
I kiwając głowami w dwie przeciwne strony,
Tamci: „Nie pozwalamy!" — ci krzyczą: „Prosiemy!"

Ćwierć godziny wrzał hałas, gdy nad tłum wrze-
[szczący.
Ze środka głów, wyskoczył w górę słup błyszczący:
Był to rapier sążnistej długości, szeroki
Na całą piędź, a sieczny na obadwa boki.
Widocznie miecz teutoński z norymberskiej stali
Ukuty: wszyscy milcząc, na broń poglądali.
Kto ją podniósł? nie widać; lecz zaraz zgadniono:
„To Scyzoryk! niech żyje Scyzoryk! krzykniono,
Wiwat Scyzoryk, klejnot Rębajłów zaścianku!
Wiwat Rębajło, Szczerbiec, Półkozic, Mopanku!"

Wnet Gerwazy (to on był) przez tłum się przecisnął
Na środek izby, wkoło scyzorykiem błysnął;
Potem, w dół chyląc ostrze, na znak powitania
Przed Maćkiem, rzekł: „Rózeczce Scyzoryk się kłania.
Bracia Szlachta, Dobrzyńscy! ja nie będę radził
Nic a nic; powiem tylko, pocom was zgromadził,
A co robić, jak robić, decydujcie sami.
Wiecie, słuch dawno chodzi między zaściankami,
Że się na wielkie rzeczy zanosi na świecie;
Ksiądz Robak o tem gadał: wszakże wszyscy wiecie?"
— „Wiemy!" krzyknęli.—„Dobrze. Owóż mądrej głowie,
— Ciągnął mówca, spojrzawszy bystro—dość dwie słowie,
Nie prawdaż?" — „Prawda!" rzekli. — „Gdy cesarz
[francuski,
Rzekł Klucznik, stąd przyciąga, a stamtąd car ruski:
Więc wojna; car z cesarzem, królowie z królami
Pójdą za łby, jak zwykle między monarchami.

A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego
Będzie dusić: my duśmy mniejszych, każdy swego,
Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali,
Jak zaczniem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali
I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita.
Nie prawdaż?"—„Prawda! rzekli, jakby z książki czyta!"
„Prawda, powtórzył Chrzciciel, krok a krop i kwita!"
„Ja zawsze gotów golić", ozwał się Brzytewka...
I tak wszystkich pociągnął wymowny Gerwazy;
Bo wszyscy ku Sędziemu mieli swe urazy,
Jak zwyczajnie w sąsiedztwie: to o szkodę skargi,
To o wyręby, to o granice zatargi.
Jednych gniew, drugich tylko poburzała zawiść
Bogactw Sędziego: wszystkich zgodziła nienawiść.
Cisną się do Klucznika, podnoszą do góry
Szable, pałki. —

Aż Maciek, dotychczas ponury,
Nieruchomy, wstał z ławy i wolnymi kroki
Wyszedł na środek izby i podparł się w boki;
I spojrzawszy przed siebie i kiwając głową,
Zabrał głos, wymawiając zwolna każde słowo,
Z przestankiem i przyciskiem: „A głupi! a głupi!
A głupi wy! Na kim się mleło, na was skrupi!
To, póki o wskrzeszeniu Polski była rada,
O dobru pospolitem, głupi, u was zwada?
Nie można było, głupi, ani się rozmówić,
Głupi, ani porządku, ani postanowić
Wodza nad wami, głupi! A niech-no kto podda
Osobiste urazy, głupi, u was zgoda!
Precz stąd! bo jakem Maciek, was, do milionów
Krocset kroci tysięcy fur, beczek, furgonów,
Dyabłów!!!

Ucichli wszyscy, jak rażeni gromem;
Ale razem straszliwy powstał krzyk za domem:
„Wiwat Hrabia!“ On wjeżdżał na folwark Maciejów,
Sam zbrojny, za nim zbrojnych dziesięciu dżokejów.
Hrabia siedział na dzielnym koniu, w czarnym stroju:
Na sukni orzechowy płaszcz włoskiego kroju,
Szeroki, bez rękawów, jak wielka opona,
Spięty klamrą u szyi, spadał przez ramiona;
Kapelusz miał okrągły z piórem, w ręku szpadę,
Okręcił się i szpadą powitał gromadę.
„Wiwat Hrabia! krzyknęli, z nim żyć i umierać!“
Szlachta zaczęła z chaty przez okna wyzierać
I za klucznikiem coraz ku drzwiom się napierać.
Klucznik wyszedł, a za nim tłum przeze drzwi runął,
Maciek resztę wypędził, drzwi zamknął, zasunął
I, przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł: „Głupi!“

ZDANIA I UWAGI.

STOPNIE PRAWD.

Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi;
Są takie, które szepce swemu narodowi;
Są takie, które zwierza przyjaciołom domu;
Są takie, których odkryć nie może nikomu.

ŚRODEK.

Bóg nie nad głową mieszka, lecz w środku człowieka:
Więc kto w głowę zachodzi, od Boga ucieka.

KIERUNEK.

Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie:
Gdzie chylił się za życia, tam po śmierci wpadnie.

CNOTA.

Gdy pełnisz cnotę, cierpisz trudy i kłopoty,
Jeszcześ nie jest cnotliwym, tylko szukasz cnoty.

PRÓBA.

Wtenczas powiesz człowieku, żeś godzien zbawienia,
Jeśli zdołasz wejść w piekło i nie czuć płomienia.

SKĄD WOJNA.

Za co człowek na bliźnich tak często uderza,
Jak na dzikie zwierzęta? Bo w sobie ma zwierza.

WARUNEK BEZPIECZEŃSTWA.

Ten może deptać węże głaskać lwy i tury
Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury.

WARUNEK NIETYKALNOŚCI.

Chcesz cało przejść pomiędzy światowym rozruchem?
Bądź dla zwierząt człowiekiem, a dla ludzi duchem.

SKĄD TO.

Bóg jest dobrem: więc wszystko, na co duch narzeka —
Zło, śmierć i potępienie pochodzą z człowieka.

CZAS.

Czas jest łańcuch; im dalej od Boga ucieczesz,
Tem dłuższy i tem cięższy łańcuch z sobą wleczesz.

GRZECH.

Grzech jest palnym żywiołem: więc kto grzechu niema
Może stać w środku piekła, ogień go nie ima.

TŁUM.

Szatan jest tchórz, boi się zostać w samotności
I dla tego najczęściej między tłumem gości.

EGOIZM.

Nie jest ten egoistą, kto od ludzi stroni,
Ale ten, kto za ludźmi jak za łupem goni.

PRÓBY.

Mędrzec zwyczajnych ludzi z rozmowy ocenia
A nadzwyczajnych mężów poznaje z milczenia.

OKLASKI.

I ty się z tego cieszysz, — mądrości synu,
Żeś został oklaskami przyjęty do gminu.

BÓG.

Jakiego Boga do ducha weźmiesz
Na takiego podobieństwo stworzony będziesz.

BŁOGOSŁAWIENI CISI.

O kawał ziemi ludzkie dobija się plemię;
Zostań cichym, a możesz posiąść całą ziemię.

NIEUFNOŚĆ.

Obraża niebo podła i nieufna tłuszcza,
Co wzywa Boga, lecz się na Boga nie spuszcza.

SKĄD MĘKA.

Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata;
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

BOŻE NARODZENIE.

Wierzysz, że się Bóg zrodził w Bethleemskim żłobie,
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie.

WZAJEMNOŚĆ.

Ile się dusza wzruszy, tyle Boga wzruszy;
O ile dusza w Bogu, o tyle Bóg w duszy.

WOJNA TYLKO MIĘDZY RÓWNYMI.

Zwierz walczy ze zwierzęciem, boi się człowieka;
Człowiek walczy z człowiekiem, od ducha ucieka.

ROŻNICA.

Dobry i zły zarówno chodzą za bliźnimi,
Jeden — żeby ich żywił, drugi — by żył nimi.

KRÓL I KAT.

Dobry człowiek, jako król, szuka kogo wieńczyć;
Zły podobny do kata: szuka kogo męczyć.

ZEGAR.

Niepokój jest zegarem, on czas ludziom stwarza;
Kto umorzył niepokój, wnet i czas umarza.

ZGODNOŚĆ.

Dobry mistrz w takim tylko chórze śpiewać lubi;
Gdzie czuje, że głos własny w harmonii gubi.

ROZPRAWA.

O czemkolwiek rozprawa, im dłużej się wiodła,
Tem dalszą jest od prawdy, jak woda od źródła.

NAUKA BEZBOŻNYCH.

Kiedy nad naukami bezbożnik pracuje,
Strzeż się go, jest to zbójca, który broń kupuje.

RUCH GŁUPI.

Głupiec, jak muł we młynie, związane ma oczy,
I ciągle ruszając się, ciągle w miejscu kroczy.

RUCH MĄDRY.

Mędrcy prawdziwie wielcy, jak niebieskie ciała,
Zdają się stać, gdy każde z nich leci i działa.

POTWARZ I POCHLEBSTWO.

Pochlebca i potwarca za zasługą łażą;
Brzydź się więcej pochlebstwem niżeli potwarzą.
W potwarzy dla dobrego jest zawżdy nauka,
Pochlebstwo złych zatwardzi, a dobrych oszuka.

POKUSY.

Nawała pokus, równie jako morska burza,
Dzielnych pływaczów wznosi, a słabych zanurza.

OGNIK.

Mądrość świata jest na kształt błędnego ognika:
Błyszcząc zwodzi cię z drogi; gdy z niej zejdziesz, znika.

JEDNA WOLA.

Jednej woli jednemu trzeba przedsięwzięciu;
Lepszy jeden wódz głupi, niż mądrych dziesięciu.

POMAGAĆ BOGU.

Bóg sam może świat zniszczyć i drugi wystawić,
A bez naszej pomocy nie może nas zbawić.

NOCNY PTAK.

Szatan w ciemnościach łowi; jest to nocne zwierzę;
Chowaj się przed nim w światło, tam cię nie dostrzeże.

CZŁOWIEK WIECZNOŚCIĄ.

Sam człowiek jest wiecznością, kiedy na świat zdąży,
I Boga w sobie, a sam w Bogu się pogrąży.

DROGA DO WIECZNOŚCI.

Ci co nad czas i miejsce ducha swego wzbili,
Mogą czucia wieczności doznać w każdej chwili.

DO RAJU PRZEBOJEM.

Do raju drzwi otwarte, ale rzadki zdoła
Przebić się przez ogniste miecze Archanioła.

ODDYCHANIE BOGA.

Kiedy tchnie, całą przyszłość z piersi swych wyzionie;
Gdy westchnie, całą przeszłość w piersiach swych po-
[chłonie.

ROZMOWA.

Duch z bezdeni swej woła: Bóg ze swej bezdeni
Odpowiada: obadwa równo niezgłębieni.

GDZIE NIEBO?

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie;
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w niebie.

JÓZEF BOHDAN ZALESKI

(1802—1886)

ROZSTRÓJ.

Świat wielki na pokorze stał; dziś go na pysze
Restaurują, dla tego ciągle się kołysze.

ROZUM I SUMIENIE.

Rozum nasz zręcznie każdy grzech usprawiedliwi,
Tylko wbrew mu sumienie świadczy, żeśmy krzywi.

NAMIĘTNE SPORY.

W namiętnych sporach ludzkich, jak w zbełtanej wodzie,
Najlepszy wzrok zaledwie dojrzy coś na spodzie.

SZKOŁA WIESZCZÓW.

Trud, chłód, głód, bojowanie, wieszczów kształcą wszędzie;
Innej szkoły nie było dla nich i nie będzie.

ŻYWE GŁOSKI.

Przeznaczenie narodom pisze palec Boski,
Wielcy mężowie — pisma tego żywe głoski.

WINCENTY POL.

(1807—1872)

SKARB CZŁOWIEKA.

Gdziekolwiek myślą twoją uderzysz,
I czy uwierzysz człeku, czy zmierzysz,
Po całym świecie znajdziesz ład wszelki,
Bo świat jest Boży, a Bóg jest wielki.
A nie to wielkie, co bywa dumne,
Ani to wielkie, co ludziom szumne,
Jeno to wielkie, w co ludziom wierzyć,
Jeno to bywa człeku bezpieczne,
A jako dzieło Boże jest wieczne.
I nie ta ziemia przed inne sławna,
Kędy jest wiele mnogości zdawna,
Lecz onej ziemi przed inne chwała,
Kędy ta czeladź pańska dojrzała,
Kędy człek poznał Boga na niebie,
A świętą prawdę daną za siebie;
A w onej ziemi, to znów najpierwsze,
Co ci od pieluch było najszczersze,

Więc wiara twoja, więc dom dziadowy,
Więc one wdzięczne, stare dąbrowy,
Więc i mogiły, gdzie ojców kości:
Toć twoje skarby, toć twe miłości,
Bo wszystko minie, a to zostanie.

JULJUSZ SŁOWACKI.

(1809 — 1849)

„Jeżeli gryzę co—to sercem gryzę".

STROFA.

...Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą;
Pawiem narodów byłaś i papugą;
A teraz jesteś służebnicą cudzą.
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny.
Mówię — bom smutny — i sam pełen winy.

MIŁOŚĆ ZBIOROWA.

Lecz u Polaków tak! — Ciągną jak słomki
Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdaje przydomki,
A wiosną listkiem cyprysu, lewandy,
Z nimi w zielone gra; lub wiąże słomki;
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną
Skosztują, haczyk obaczą — i miną.
Lecz u Polaków tak: widziałem całe
Przy jednej pannie gimnazya, licea;
A zaś korzyści z tych miłości małe,
I bardzo małe na później trofea.

Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek:
    Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga, że takie zbiorowe
    Miłoście nic są w miłości nie warte;
Że lepiej serce zawrócić niż głowę;
    Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziej romansowe,
    I stokroć bardziej ogniście zażarte,
I często widząc, że na świecie źle tym,
    Z rozpaczy kończą tak, jak Werter w Goetym.

WALLENRODYZM.

W czas, gdy nie znano jeszcze Wallenroda,
    Kończył jak pies ten, kto zdradą zaczynał:
Exemplum: oba Litewskie biskupy,
    Na dwóch latarniach miejskich — oba trupy.
Wallenrodyczność, czyli Wallenrodyzm
    Ten wiele zrobił dobrego — najwięcej
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm:
    Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy.'

MAŁŻEŃSTWO.

Tak, tak. — Małżeństwo jest jako czereśnie:
Wprzódy je wróble oskubią złodzieje,
A potem człowiek zjada nadgryzione.

PRZY KOŚCIOŁKU.

Przy kościołku,
Mój aniołku,
    Koronka,

Żonka,
Pieczonka.

Przy organku,
Mój Bohdanku,
Szumka
I dumka;

Przy klasztorze,
Mój kaczorze,
Wziętość,
Nadętość;

Przy krzyżyku
Na stoliku
Fakta:
Dwa akta.

OJCZYZNA.

Dawniej mówiłeś, Janie: — Majątku nie zjadłszy,
Gdy Polska zubożeje — ja będę bogatszy.
A teraz ci w kieszeni weksel każdy gada,
Że spadasz na majątku, gdy ojczyzna spada.
Tak ci miłość powszechną napędza do głowy
Srogi bat nauczyciel i kurs papierowy.

ŻEBY TEŻ JEDNA...

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!

Żeby też jedna! Ha... to mię przestrasza.
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: *skończona!*
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka — śmiech mię zbiera.

DOŚWIADCZENIE.

O! doświadczenie — ty jesteś pancerzem
Dla piersi, w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem,
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza;
O! doświadczenie — jesteś ciepłem pierzem
Dla samolubów; tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku —
Dla mnie, śród ciemnej nocy — świecą w ręku.

POECI NOWI.

Widać że po tym w Polsce deszczu krwawym
Nowi poeci rodzą się jak grzyby.
Szkoda, że każdy jest nadzwyczaj łzawym.
I w oknie duszy ma zielone szyby,
Każdy ma język swój, co jest kulawym.
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby,
A kiedy straszną opisuję burzę,
To chmura piorun zostawia w cenzurze.

PAN REGIMENTARZ.

„Jakem człek prawy, jakem Polak prawy!„
Pociągnął wina; pił jak but dziurawy.

Wszyscy w ojczyźnie mówili: to zdrajca!
Tymczasem chciał się ożenić bogato,
I okiem wszystkie przemierzywszy domy,
Najlepszym z domów wydał mu się na to
Ów zamek wielki malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcic pół, pół król, pół Kato,
Pół waryat, a pół syn Cezarów Romy;
Maleńki starzec, pół łysego czoła,
Ojciec, który miał córkę, pół anioła.
Wybrawszy teścia, przyjechał bez swatów,
Z intencyą ojcu się oświadczył, pannie;
Wspomniał o drzewie swoich antenatów. —
Nie wspomniał ani raz o krwawej wannie,
Którą chciał sprawić dla konfederatów —
Ale o królu mówił nieustannie,
Pokręcał wąsa, zarzucał wylotów,
Lubił pić, bardzo nienawidził kotów.
Dla tego kochał psy, gdy gardło zalał...
Zalecał nawet dóbr intendentowi,
Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał,
Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bólu zębów a stąd od wścieklizny.
Miał jednak dobrą stronę — anewryzmy.
Te dowodziły, że miał serce. Głowy
Nie dowodziła w nim choroba żadna,
Lecz materyalny kadłub, z okiem sowy

Na szyi zawsze nieruchomej; składna
Figurka, uśmiech i ukłon wężowy;
Wielka znajomość świata, krajów, ludzi,
I wiele tego wszystkiego co łudzi.

KRZYCZELI: „POLSKA!"

Krzyczeli: „Polska! Polska"!... lecz jednego razu
Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Bóg im prawo krzyku przyzna,
Szli i krzyczeli jeszcze: Ojczyzna! Ojczyzna!" —
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka —
I przeraził je wszystkie, zapytawszy: „Jaka"?

A drugi człowiek niby w żebraka postaci
Pomyślał, że mu trzeba w duchu wolnych braci,
I wolności mu trzeba w milionów osobie,
Ziemię bowiem pod sobą ma i Boga w sobie,
A Pan w nim jako ogień i już nie nad krzakiem
Zagrzmiał: „Prosisz się, widzę, być dawnym Polakiem!"

EPIGRAMATA

Chcesz widzieć kraj bogatym? wynajdź na to sposób,
By mój dukat dziś obszedł ręce wszystkich osób,
A każdy powie: niema szczęśliwszego świata,
Zyskuję dziś i tracę na siebie dukata.
Chcąc światłem się wydostać z krainy upiorów,
Musisz wprzód Bogu złożyć ofiarę z kolorów.

Napełń się przenajświętszym ducha sakramentem,
A w duchu będziesz rządził globem jak okrętem.

Religii, która się w duchu krajów wzmaga
Nie pacierz — lecz najlepszym dowodem — odwaga.

Ludzie wielcy — a z siebie ruch urodzić zdolni
Pośród min pękających chodzą najspokojniej.

Ziarnem Polski, być jeden prosty człowiek może:
Jak w ziarnku żyta — żyje całe przyszłe zboże.

Jeśli się duchem w gwiazdy jak kamień wyrzucę,
Zajaśnieję — i może głazem być nie wrócę.

Znajdź najszlachetniejszego, a potem, cierpliwy,
Buduj kraj — w którym by ten święty był szczęśliwy.

Gdzie jest Bóg tego księdza?—gdzie do niego droga?
Mówi z ambony — na wsi jestem bliżej Boga.

Dajesz do nieba paszport opłacony złotem,
A szatan, twój sekretarz, pisze go *z powrotem*.

W Bogu, w duchu, w idei, mówisz, cel daleki,
Siła to grunt... Toż chłopom posyłaj bifszteki.

Ani rola, ni handel, ni prac rozdzielenie
Nie jest źródłem bogactwa kraju — lecz natchnienie.

Coś coraz żywszym z grobu podnosi Polaka,
Nie liczba — bo ta z dawna jest omal jednaka.

A JEDNAK JA NIE WĄTPIĘ...

A jednak ja nie wątpię — bo się pora zbliża,
Że się to wielkie światło na niebie zapali,
I Polski Ty, o Boże nie odepniesz z krzyża,
Aż będziesz widział, że się jako trup nie zwali.

Dzięki ci więc, o Boże, — iż już byłeś blizko,
A jeszcześ Twojej złotej nie odsłonił twarzy,
Aleś nas, syny Twoje, dał na pośmiewisko,
Byśmy rośli jak kłosy pod deszczem potwarzy.

Takiej chwały od czasu, jak na wiatrach stoi
Glob ziemski — na żadnego nie włożyłeś ducha,
Że się cichości naszej cała ziemia boi,
I sądzi się, że wolna, jak dziecko, a słucha.

TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było, — idę smętny...

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, idą na śmierć po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem twardą bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

(1809—1878)

NICOŚĆ.

W nicości wieść żywot, grzechem.
Czemuż nie walczym z nicością?
Bo stoim między pośpiechem
A między opieszałością.

NIEMYLNOŚĆ.

Są ludzie, którzy nigdy się nie mylą —
Bo w nic mądrego głowy nie wysilą.

ZŁUDZENIE.

Nam się zdaje, że prawdę zdobyliśmy całą,
Gdy ledwo cząstki głupstwa pozbyć się udało.

ŁATWY POWRÓT.

Z wszystkich punktów na kole w środek mierzy droga —
I z najbłędniejszych zboczeń powrót jest do Boga.

JEDNOSTKA Z CAŁOŚCI.

Lada pszczółka, a hardo stawi się w potrzebie,
Bo ma czucie swej rzeszy, a za nic ma siebie.

POCZĄTEK OD SIEBIE.

Krzyczysz, występnych pod pręgierz byś stawił:
Samżeś od wczora na włos się poprawił?

SAMOPOZNANIE.

Wtenczas siebie poznajesz, skoro więcej w sobie
Odkrywasz ułomności niż w innej osobie.

HART WOLI.

Kto tylko raz się przełamie,
Ten się zwycięży raz drugi;
I zaraz ma wolne ramię
I żądze ma na usługi.

MĘDRZEC.

Któż mędrzec? jeśli nie ten co dumy się zrzeka
I uczy się choćby też od prostego człeka?

BOGACZ.

Kto bogacz? jeśli nie ten kogo żywi praca,
Kto ku swemu zbawieniu co Bóg dał, obraca?

SĄD NIEWIEŚCI.

Czuciem dobre, lub piękne odgadnie niewiasta —
Niech się puści w dowody, stul uszy i basta.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

(1812 – 1859)

LECZ WSZYSTKO ŚWIECKIE...

. . . .

Lecz wszystko świeckie dziś pełne podłości...
Ludzie, zagrząząłszy na wygód mieliźnie,
Gorzej umarli, niż umarłych kości,
Święcą dusz próchnem po życia płaszczyźnie...
Świat dziś kałużą rozmiękłego błoga,
W której się wala — Bóg ich — cielec z złota.
Wszędzie stek kupców, wszędzie ród kramarzy,
Ze wszystkich plemion najnędzniejsze plemie...
Z czołem pogodnem, gdy je hańby brzemie
Tłoczy, z natchnieniem, gdy o zysku marzy —
A wtedy tylko z rozpaczy wyrazem,
Gdy w giełdach wszystkich spadną ceny razem...
Żaden z nich w świętej miłości lub dumie
Za miecz nie chwyci — bo walczyć nie umie;
Żaden umierać już nie jest gotowy,
Więc umrą wszyscy — i o złej godzinie,
Bo gdy myśl zgasła, świat tej myśli zginie
I na ruinach powstanie świat nowy!...
Darmo ich mowa kwiecista i szumna —
Czas ich — za niemi! — — — —

RESURRECTURIS.

FRAGMENT.

Świat ten cmentarzem z łez, ze krwi i błota,
Świat ten, jak wieczna każdemu Golgota!
Darmo się duch miota,
Kiedy ból go zrani;
Na burze żywota
Niema tu przystani!
Los z nas szydzi w każdej chwili:
Dzielnych strąca do otchłani —
Giną święci, giną mili,
Żyją niecierpiani!
Wszystko się plącze — i nierozgmatwanie.
Śmierć w pobliżu — a w oddali
Gdzieś na wieków późnej fali
Zmartwychwstanie.

*
* *

Więc trzeba skrzepnąć, stwardnieć, być bez serca,
Pośród morderców stanąć jak morderca,
Pośród zbrodniarzy wystąpić zbrodniarzem?
Kłamać — nienawidzić —
Zabijać i szydzić —
Tak świat tem samem, co dawa, obdarzem!
Oto potęga — lub stańmy się niczem!
Jedzmy i pijmy, bądźmy śmiecią złotą,
Ciała wygodą, a myśli nędzotą —
Tak się do głupich i szczęśliwych wliczem!

RYSZARD W. BERWIŃSKI.
(1819—1879)

DON JUAN POZNAŃSKI.

W Poznańskiem, wierz mi lektorze,
Są literaci — a literatem
Nie każdy jednak być może. —

W Poznańskiem jednak, — ach! w tem Poznańskiem,
W tem naszem polsko-germańsko,
Arysto-demo-kratyczno-pańsko-
Filozoficznie-kapłańskiem,

Są ludzie — są więc i literaty!
Jeśli dowodów chcesz gwałtem,
Za sześć talarów prenumeraty
Wszystkich zakupisz ryczałtem —

Wszystkich od razu! — I jeszcze w targu,
(Gdzie bowiem idzie o życie,
Tam handel trzeba budzić z letargu)
W targu dostaniesz — odkrycie.

Ach, ale jakie! — Odtąd na świecie
    Łotrostw, ni łotrów nie będzie,
Co więcej nawet głupców! — a przecie
    Będą i sądy i sędzie —

Ach, ale jakie! — W kąt sławne żury,
    W kąt prokurator i świadki —
W kąt inkwizytor, knut i tortury,
    Więzienia, kraty i kratki —

Będą to sądy... lecz lepiej zrobię,
    Że zamiast w długiej omowie,
Przykład ich żywy podam na sobie
    I że tak zacznę: „Panowie,

Publiczność głupia! (Jeśli z was który
    Między publiczność nos wraził,
Daję mu słowo honoru z góry,
    Żem go niechcący obraził).

Publiczność głupia, — a głos publiczny,
    Lud, większość — czcza to chimera;
Skir z czasów Piasta w Polsce dziedziczny,
    Na któren szlachta wymiera! —

Większość — opinia... i gdzie? w Poznańskiem!
    I w czem?... w uczonym zawodzie!
Gdyby to jeszcze coś o szampańskiem,
    Coś o......, o modzie, —

Gdyby nareszcie o rzepiach, grykach,
    A po naszemu taterkach,
Lub o baranach — a raczej trykach,
    Gdyby nakoniec o perkach;

Nicbym nie mówił, — bo jest w tej mierze
I u nas rozum publiczny;
Syn go po ojcu w puściznie bierze,
Jeśli ma folwark dziedziczny; —

Tu tradycyjnym rządzi się torem,
Dzień cały sieje, lub sprząta;
W blizkie sąsiedztwo jedzie wieczorem,
Gdzie zwykle romans się pląta —

Młoda mężatka — lub stara panna —
Czasem daleka kuzynka —
Najczęściej jakaś garderobiana —
Jakaś Mamzela, Asynka; —

Sprzyja-li pora, — to smycz i charty,
Strzelba na wiosnę i w zimie; —
Słota-li, pół dnia przegra się w karty,
Druga połowa przedrzémie! —

Tak żywot pański — żywot mozolny
W próżniactwa zwija się krążek, —
A w pośród nudów, i chwili wolnej
Nie masz do nauk i książek. —

Zresztą co po nich! — Naszym naddziadom
Wystarczał z kordem sens zdrowy —
Nieprawdaż panie ojcze, — tyś świadom,
Co może ręka bez głowy. —

O tak, herosie z pod Ostrołęki,
Z pod Dębu, Igań, Grochowa,
Wawrzyn do każdej przypinaj ręki —
Lecz cóż na głowę?... ach! głowa...

Mniejsza o głowę, kiedy są laury —
    I cóż że niema ojczyzny,
Kiedy po stajniach są Bucentaury,
    Po twarzach marsy i blizny! —

Bił się pan ojciec — syn się bić będzie —
    Ilu kpów — tylu żołnierzy!
Każdy, przysięgam, konia dosiędzie,
    Niech no ktoś alarm uderzy. —

Więc po co czytać! — Biedny literat
    W ostatniej losu potrzebie,
Gdy nikt nie czyta, musi rad nie rad
    Czytać i sądzić sam siebie —

A zwłaszcza sądzić! — O! wynalazku
    Przemyślnej giełdy parnasu,
Coś bicz krytyki ukręcił z piasku,
    Bo szkoda było atłasu;

Cześć ci! — Ja wieku syn niewyrodny,
    Człowiek postępu niegłupi —
Syty mądrości — lecz chleba głodny,
    Wołam: panowie! kto kupi?

Ot towar piękny! — bo proszę panów
    Co za materya prześliczna!
Przytem dla wszystkich i płci i stanów
    Jak niesłychanie praktyczna!

A jak skończona!... jak?... to pytanie,
    Nim z drugą pieśnią wyruszę
Rozstrzydz przyrzekłem; tutaj więc na nie
    Krótką odpowiedź dać muszę —

Jak?... przecudownie!... I choćby wszystka
 Piękność mej pieśni i wątek,
Niewarte były suchego listka
 Z owych Gustawa pamiątek;

Choćby wiersz każdy, — ten wiersz mój gładki,
 Twardym sę zdawał, jak gruda —
A wymuszone rymy i spadki,
 A rzecz zbyt tłusta, lub chuda; —

Choćbym był zaczął nieromantycznie,
 A śpiewał nie po eolsku;
Skończyłem jednak patryotycznie,
 Skończyłem czysto po polsku —

Bo nie skończyłem! — „Brawo ci, brawo —
 O narodowy nasz wieszczu!"
Krzykną rycerze, co pod Warszawą
 Przez trzy dni stali na deszczu

Bomb i granatów; — a dnia czwartego
 Skończyli według zwyczaju
Szlachecko-polsko-narodowego —
 Bo nie skończyli dla kraju!

A było ich tam sto razy tyle
 Co owych synów Hellady,
Którzy...... lecz o tem niech Termopile
 Świadczą, — kto poszedł w ich ślady?...

Kto?... z naszych żaden! Rzecz oczywista,
 Że wszystkich szkoda, lecz gdyby
W tylu tysiącach, choć tylko trzysta
 Było walecznych, mogliby...

Prawda! lecz choćby polegli wreszcie,
I wszyscy poszli do gazet,
Byłoby w Polsce najmniej wsi dwieście
I dusz bez panów kilkaset. —

A brzydko umrzeć, gdy pięknie żyjem
Z cudzych darmochów i danin. —
Żyj więc motłochu! — Lecz *carpe diem!* —
Nauczał pewien Rzymianin. —

Korzystaj z chwili — bo chwila płynie,
Πάντα ῥεῖ — wszystko ucieka; —
Świat, ziemia, słońce, niebo przeminie —
Wieczność je schłonie, jak rzeka

Kiedy ulewnym deszczem gór wzbierze,
Pochłania w dzikim swym biegu,
I te potężne stu burz szermierze:
Dęby szumiące u brzegu,

I ten niewinny kwiat niezabudki,
Ukryty w trawek spowicie,
Co niewidziany, mały, cichutki,
Jak cicha miłość rósł skrycie —

Jak cicha miłość! — O, młoda parko,
Której się Eden uchyla,
Dopóki serce twoje poczwarką,
Korzystaj z chwili — motyla —

Bo chwile lecą — godziny płyną,
A choć chwil szczęścia nie liczem;
Choć dla kochanków wieczność godziną,
Chwila wiecznością — czas niczem —

ANTONI SOWA (Edward Żeligowski).

(1820—1864)

KOCHANKA.

Kochanko moja, czemu piechotą
Tak się wybierasz w noc późną?
Na dworze wietrzno, ciemno i mroźno,
A ty tam bieżysz z taką ochotą.

Dokądże bieżysz? czyli po złoto?
Ja ci go daję więcej od innych;
Czyli do biesiad bieżysz niewinnych,
Czy by się kalać sromotą?

Po co bądź bieżysz, ku jakiej stronie —
Czy dla miłości, czy dla pieniędzy —
O cel nie pytam — lecz weź me konie,
Dojedziesz prędzej.

BARDZO PŁAKAŁA.

Bardzo płakała na jego grobie,
Potem łzy sobie otarła,
Potem mówiła, śmiejąc się sobie:
Dosyć już tobie, duszo umarła.

I wzrok zwróciła na grób z pogardą:
Fe, w grobie ciało jedzą robaki!
Pierś ozdobiła kraśną kokardą:
Trafił się nowy ktoś — śliczny taki!

CI NIEGRZECZNYM MIĘ ZOWIĄ.

Ci niegrzecznym mnie zowią, ci krzyczą szyderca!
Inni nawet brak widzą wiary i miłości;
Dowcipni posądzają o osobistości,
Ci widzą tylko sarkazm złośliwy, bez serca.

To nie sarkazm dla Boga, to jęk mego ducha
Przetapia się na słowa i w rymy się kuje,
Jeśli mię kto potępia, niech ze mną uczuje
Ból krwawiącego me serce łańcucha.

Toż widok przeraźliwy, to zbrodnie, nie błędy:
Wiara praojców w urny zamknięta popielne,
A cnoty towarzyskie w salonów obrzędy,
I chłód w sercu dla bliźnich i szczęście bezczelne.

Kto ma zdolność to widzieć, czyż łzy nie wyleje?
I gdy w łzie tak wylanej nie będzie trucizny,
Czyja pierś tak wystygnie albo znikczemnieje,
Niech nie śmie swej imienia wymówić ojczyzny.

PRZEPAŚĆ W LEWO I W PRAWO.

Przepaść w lewo i w prawo — przepaść pod nogami,
A nad głową Bóg wielki — niebo lazurowe,
Lecz brak mi sił, by podnieść umęczoną głowę,
Ni patrzeć popsutemi w ciemności oczami.

Spojrzę jednak — olśnąłem — i w oczach mi ciemno,
Słuch wytężam, by słyszeć moich bliźnich mowę:
Jęki słyszę i czuję wciąż przepaść pode mną,
A nad głową Bóg wielki — niebo lazurowe.

NA GROBACH ROSNĄ KWIATY.

Na grobach rosną kwiaty, i groby na kwiatach.
Wiecznie młody duch życia choć zmienia się w szatach.
I groby z kolebkami w jeden akord wielki
Odbrzmiewają pieśń życia weselno-żałobną.
Ludzie — to z morza bytu ujęte kropelki,
By każdy wyrósł w boskość i wielkość osobną.
I każdy wywołany z bytu-oceanu,
Ma wywalczyć i zająć wybrzeże lądowe,
I każdy z pieluch ziemi w niebo wynieść głowę,
Synowski Ojcu pokłon dać z ducha rydwanu.
I każdy w samowiedztwie swych przeznaczeń chwały,
Pierworodny majestat dziedzictwa zdobędzie; —
I widomą się chwałą otoczy świat cały; —
I nic — i nic prócz Boga na świecie nie będzie!

WACŁAW SZYMANOWSKI.

(1821—1886)

JAKIE DRZEWO, TAKI KLIN, JAKI OJCIEC, TAKI SYN.

OJCIEC (wychodząc z synem z handlu win).

E... to reńskie, każdy przyzna
Że ma jakiś kwasek dyabli;
Zresztą reńskie to kiepszczyzna
Wolę Margaux.

SYN.

A ja Chablis.

OJCIEC.

No do ostryg ujdzie ono,
Ale widzisz przy obiedzie
Niedaleko z nim zajedzie.

SYN.

Jakże wczoraj grę skończono?

OJCIEC.

Ale prawda, z tej zabawy
Ty po trzecim coś kieliszku
Gdzieś drapnąłeś nam braciszku.

SYN.

Miałem bardzo pilne sprawy,

OJCIEC.

A to jakie?

SYN.

Do przejrzenia
Różne akta procesowe...

OJCIEC (grożąc mu palcem).

Ej! ty łotrze bez sumienia,
Znam ja pilne sprawy owe.

SYN.

Bo co?

OJCIEC.

Widzę z twojej miny
Że w tak ważnym tym procesie
Grały rolę krynoliny.

SYN

A chociażby...

OJCIEC.

Wy obwiesie
Młodzież! U was nic do głowy,
Tylko jakiś romans nowy.

SYN.

Bo to życie mdłe przypieprzy.

OJCIEC.

Czy bez tego żyć nie można?

SYN.

Niby ojciec od nas lepszy!

OJCIEC.

No... nie mówię... toć z ostrożna
Niech rozrywki każdy szuka,
Ale niech się okpić nie da.
Frant na franta, na tem sztuka.
Bo to frycom dyabła bieda.
Mnie nie lada trzeba kąska,
A byle kto ciebie zmani...

SYN.

Psyt!

OJCIEC.

Co?

SYN.

Ot tam wprost przed nami...

OJCIEC.

A, jak Boga kocham, gąska!

SYN.

Pójdźmy za nią!...

OJCIEC.

Tylko cicho!...

SYN.

Materyalna suknia suta...

OJCIEC.

A koronki, niech ją licho!

SYN.

A jak drepcze!

OJCIEC.

Jak obuta!

SYN.

Co za nóżka?

OJCIEC.

Jak toczona!

SYN.

Spójrz no, ojcze, jaka kibić!

OJCIEC.

Żeby chociaż słówko wścibić,
To się zaraz człek przekona!

SYN.

Pachnie zdala jak ananas.

OJCIEC.

Może jaka pani wielka.

SYN.

E... ogląda się coś na nas.

OJCIEC.

Bodajże cię!

SYN.

Co?

OJCIEC.

Amelka!
Nie poznajesz?

SYN.

A niechże ją!
A ja wyznam ojcu szczerze
Już cieszyłem się nadzieją...

OJCIEC.

To dopiero wzrosła w pierze!
Patrzaj jaka tęga mina...

SYN (pogardliwie).

To nie dla nas ta zwierzyna.

OJCIEC.

Tak, obrazek trochę starty.

SYN.

Chociaż niegdyś nie był brzydki,

OJCIEC.

Pójdźmy lepiej gdzie na karty.

SYN.

O dziś ojca zgram do nitki!

NIEDOŁĘGA.

Niechaj-że was święci strzegą
Ludzie mili.
Byście jak ja do niczego
Kiedy byli;
Gdziebądź pójdę, cobądź zrobię,
Każdy gęga:
Daj tam pokój, jesteś sobie
Niedołęga.

Niedołęga... mówić łatwo,
Głupi tłumie;
Robić piórem albo dratwą
Każdy umie,
Czembądź z pracy zysk się bierze:
Butem, księgą,
Furda... lepiej zostać szczerze
Niedołęgą.

Co po myśli, kiedy ona
Ledwie wzlata
Ciężkiem skrzydłem, i wraz kona
W krańcach świata.
Co po pracy... chyba w grobie
Spokój daje,
Bo gdy masz jeść, zębów tobie
Nie dostaje.

Co po ludzkiej całej owej
Krętaninie,
Z której tylko zawód nowy
Ciągle płynie;
Człek obarcza głowę własną
Wciąż kłopotem,
W końcu jak dzień widzi jasno,
Że nic po tem.

Niedołęga, choć mu w głowie
Braknie klepki,
Jest to, wierzcie mi panowie,
Człowiek krzepki.
On przed siebie śmiało patrzy,
W zgodzie z światem,

A jak zliczy już raz, dwa, trzy,
Dość mu na tem.

Niech się ziemskie tam półbogi
Pną w niebiosa;
On nie szuka sobie drogi
Wyżej nosa.
Idzie, za nic ważąc chwałę,
Wciąż ostatni
I wynosi kości całe
Z ludzkiej matni.

Szczęścia kupić nikt nie wstanie
I nie kupi:
Wielkie jeszcze jest pytanie,
Kto z nas głupi?
Czy ten, który z ludźmi w wojnie
Mary łapie,
Albo-li ten, co spokojnie
Śpi i chrapie.

Patrzcie, jak ich ziemskie koło
Wciąż obraca,
Jak marnieje niewesoło
Ludzka praca.
Ciężkiej doli nie upiększy
Miecz, ni księga...
Światem rządzi los, — największy
Niedołęga.

LUDWIK KONDRATOWICZ.

(1822—1862)

DO ZBYTKUJĄCYCH ZAPUSTNIKÓW.

W dniu popielcowym posypane głowy!
Do was przemawiam zbawiennemi słowy:
Wszystko jest próżność i wszystko przeminie!
Ztąd mędrzec siwy takie daje rady:
„W pokorze ducha i przy dobrem winie
  Zapominajcie i troski i zwady:
Dawnych zwyczajów pamiątka wymaga,
  Że kogo kapłan poprószy popiołem,
We środę wstępną upić się nie wzdraga
  I z pełną skruchą zasypia pod stołem.
Tam marność świata niech mu ciągle śni się:
  Bo cóż jest sennem? chyba myśl wesoła
I głos przyjaciół, co radośnie woła
  Wypiwszy do dna „Wiwat! kochajmy się!“

NAGROBEK OBYWATELOWI.

D. O. M.

Bił chłopów pałką,
Poił gorzałką,
Miał sto lat z górą,
Jadł barszczyk z rurą,

Popijał piwo,
Zbierał grosiwo,
Czasem od święta
Ciął się w karcięta.
Miał arendarza,
Z którym rozważa:
Czy będą wojny?
Czy czas spokojny?
Zjadł na śniadanie
Udo baranie,
I witych w cieście
Kołdunów dwieście.
Tak z niestrawności
Doszedł wieczności
I w ciemnym grobie
Spoczywa sobie.
Nim wieki zbiegą,
Tnie Chrapickiego.
Aż głos anioła:
— „Wstawaj! — zawoła —
„Bo już gotowa
Pieczeń wołowa".

CUPIO DISSOLVI.

Na co mi, Panie, ta suknia z ciała,
Co mi swobodę duszy skowała?
Skowała w pancerz, ciśnie i gniecie,
I zatrzymuje na ziemskim świecie.
Ja jestem duchem... duchem, nic więcej...
Po co mam chodzić w szacie zwierzęcej?

Moje radości, moje katusze,
Na dzwonku serca wydzwaniać muszę,
A nieśmiertelnych myśli osnowa
Musi się ścieśniać bełkotem słowa.
Kiedyś mnie stworzył wolną istotą
Między występkiem a między cnotą
Czyż grzech i cnotę przed okiem nieba
Koniecznie słowem wyrazić trzeba?
Jeśliś przeznaczył ludziom za brata
Czyż tylko ciało braterstwo splata?
Czyż tortur ducha nie masz w Twych ręku?
Czyż nie rozumiesz bólów bez jęku?
Dałeś mi mowę, cóż ona znaczy?
Czyż choć cień myśli mojej tłumaczy?
Dałeś mi zmysły, cóż ich powaby?
Każdy ułomny, każdy w nich słaby.
Każdy kłamliwy w swojej osnowie,
Żaden mi ścisłej prawdy nie powie.
W uchu i w oku, w smaku i woni,
Tylko się samo złudzenie chroni,
Tylko przeszkoda duszy człowieczej,
By doskonalej pojęła rzeczy.
W ziemskich warunkach ciała i kości
Spada korona niezależności;
Duch musi stawać na ziemskiej mierze
Ziemska namiętność swe prawa bierze.
Wysokie żądze giną bezpłodne,
W zamian rozkoszy, co mnie niegodne;
Głód i pragnienie, zimno i spieka
Dają poczucie nędzy człowieka.
Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
Próżność piersiową klatkę wydyma,

Nienawiść ręce uzbraja w noże,
Miłość zbydlęca, co było boże.
Tak... nawet miłość — uczuć królowa,
Tutaj świętości swej nie dochowa.
A zawsze bólem serce się kraje,
Ale ta boleść chluby nie daje;
Ja moje ziemskie spłacając długi,
Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi:
Kiedy mię ziemskie cierpienie zmoże,
Z więzów cielesnych wyrwiesz mię, Boże,
Ale już dusza nie będzie młoda,
Już jej przeminie dawna swoboda,
Bo ją bolesna pamięć przygniata
Grzechu i cierpień ziemskiego świata.

SEN I KABAŁA.

I.

Morfeuszu! sklej mi oczy,
Niechaj jaki kraj uroczy
Zobaczę!
Siedzi sobie ponad Nilem
Ptaszek, zwany krokodylem
I płacze.
Bieży sobie ciche jagnię,
Co się wody napić pragnie
I pyta:
— „Krokodylku! co to znaczy?
„Na twym dziobku łza rozpaczy
„Tak świta?“

— „Synu owcy i barana!
„Twemu sercu litość znana
„Daj uszko.
„W mej boleści ulżę może,
„Gdy do głębi ci otworzę
„Serduszko!“
I baranek dał skok chyży,
Ze współczuciem się doń zbliży,
I rzecze:
— „Ulżyj sercu, co pod głazem,
„Pozwól, niechaj z tobą razem
„Zabeczę“.
I poufnie uszko schyla,
Aż się paszcza krokodyla
Zaśmieje.
Klapnął paszczą — bez zachodu.
Pożarł baraniego rodu
Nadzieję!

II.

Stara babka sny tłumaczy:
— „Powiedz, babko, co się znaczy
„Sen taki?“
Babka na stół kładzie karty
I zażywa po raz czwarty
Tabaki.
— „Dzwonka!... czerwień!... sens się splata
„Że nie z sercem idź do świata,
„Lecz z wiedzą;

„Zamknij serce, niech się studzi,
„A unikaj czułych ludzi,
„Bo zjedzą.
„Tuz... król... kralka... dama... walet...
„Kto chciał szukać z serca zalet,
„Był skaran!
„Krew serdeczną wyssą tobie,
„I napiszą na twym grobie:
„Żeś baran!"

LALKA.

Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy,
Ładnie mi się ukłoni i uszko nachyli,
A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy
Jak mi rodzice mówili.
W święto... mama mię w nową sukienkę ubierze,
I różową przepaskę zawiąże u czoła;
Ja wtedy umieć będę francuskie pacierze,
I pojedziem do kościoła.
Toż to się dziwić będzie prostaków gromada!
Bo nie przy nich pisane zagraniczne słowa;
Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada,
Czy to ja chłopka wioskowa?
Lecz cichutko po polsku poproszę w kościele:
Niech mi Bozia da rosnąć i wyładnieć prędzej,
A dla mamy i papy niech da wiele, wiele
Złotych i białych pieniędzy.
Oni tak lubią grosze, tak modlą się szczerze,
Dają na msze dwa złote, całują obrazy,
A Pan Bóg taki dobry, że co dasz w ofierze,
To, słyszę, odda trzy razy.

Więc oni coraz hojniej Panu Bogu służą,
A Pan Bóg więcej płaci za ich chęć pobożną;
To zbierze się pieniędzy tak dużo, tak dużo,
Że i przeliczyć nie można.
Lalko! jaka ty śmieszna, nie rozumiesz zgoła:
Pytasz, czy to Bóg przyjdzie we własnej postaci,
Albo przyśle z pieniędzmi swojego anioła,
Co za pobożność zapłaci?
Gdzie tam — jak mówi mama — z Opatrzności Boskiej:
Przyjedzie żyd brodaty, da groszów i dosyć.
Za pieniądze kupimy chłopów cztery wioski
Co będą nam żąć i kosić.
Ty tylko tego nie wiesz, że my — to panowie,
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,
By pracowali na pany.
Brudne, brzydkie, pijane, często jak nędzarze
W poszarpanych siermięgach ledwie włóczą ducha,
Lecz sami sobie winni, to Bozia ich karze,
Że chłopstwo papy nie słucha.
Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi,
Doprawdy, że aż szkoda, zkąd taka różnica?
Niegrzeczni muszą być chłopi.
Ot i wczora, gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się, czy to pięknie i co za potrzeba?
Weszli, zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie:
Mleka, panoczku, daj chleba!
Więc kazano ich obić, i słusznie obici;
Już ja kiedy wyrosnę i mieć będę zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.

Bo proszę, jak to zasnąć, kiedy naród blady,
I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą?
Nie nakarmić ich chlebem, to przyśnią się dziady,
Jeszcze do torby pobiorą.
Lub co gorsza — w obrazku Pan Jezus się dowie,
Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie...
Lalko zmówmy pacierze o chleb i o zdrowie
Chłopom, i papie, i mamie.

KORNEL UJEJSKI.

(1823—1897)

PRZEKLĘCI.

Przeklęty! kto widział wielkie dzieła boże,
A pokłon oddaje w służebnej pokorze
Nie Bogu na niebie, lecz cielcu złotemu.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto mężem, a swemu bliźniemu,
Za urząd, za strawę, za lepsze odzienie
Zaprzeda swą wolność i swoje sumienie.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto naród spokojny najeżdża,
I w nim się jak brzydka jaszczurka zagnieżdża,
I czystą myśl jego zaraża oddechem.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto z głupim pogląda uśmiechem
I gnuśny rozkoszą w bezczynności leży,
Gdy jego sąsiada wróg chytry grabieży.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! ktokolwiek z ojczystego drzewa
Rwał słodkie owoce, a cierpkie odrzuci,
Kto duszę od wspólnych utrapień odwróci.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

ZIEMIA.

Ziemio! nie jesteś ty miłości tworem,
Bo niema serca ni miłości w tobie;
Jak zalotnica strojąc się wieczorem,
O blasku jeno marzysz, o ozdobie.
Zaprawdę ziemio, z nudy i przesytu,
Bóg ci dał chwilę motylego bytu.

I jak ćma głupia kołujesz przy słońcu,
Aże weń wpadniesz i spłoniesz na końcu.
Tyś samolubnie zanurzona w kwieciach,
O swych cierpiących zapominasz dzieciach,
Ciekawie chwytasz głosy różnej treści,
Oprócz jednego — prócz głosu boleści!

Nieraz z twej cierni wiła dłoń zdradziecka
Koronę męki dla twojego dziecka.
Ta cierń zbrodnicza, świętą krwią opita,
Potem na wiosnę w biały kwiat rozkwita,
I ptaki o niej śpiewają po świecie:
„Jakie to białe i niewinne kwiecie!“

I nad naszemi domy, gdy pożary
Porozwieszają czerwone sztandary,
A matka z włosem roziskrzonym w błyski
Do niemowlęcej rzuca się kołyski,

To wtedy chmura lecąca po niebie
Wśród ciemnej nocy tak szepce do siebie:
„Wesołe ognie co na ziemi płoną,
„O jakże ładnie malują mi łono!“

Ziemio! tyś zawsze, tyś zawsze jednaka,
Szatan ironii wciąż lata nad tobą,
Co im ból sprawia, tobie jest ozdobą,
Tobie jest blaskiem. Mówią, że łza ptaka
Zakamieniała — staje się bursztynem,
Ziemio! Krew nasza dla ciebie rubinem,
Jęk nasz — dla ciebie melodyjnym dźwiękiem,
Zbielałe kości — tobie łożem miękkiem!

Widziałem dzisiaj, jak łańcuch żórawi
Ciągnął od morza, przynęcony wiosną,
I leciał hyżo — i pieśnią radosną
Sławił jeziora gdzie się lilia pławi,
I sławił góry uwieńczone w sosny
I srebrne rzeki na dolin kobiercu —
I nad tą ziemią lecąc wolnym szlakiem,
Nic! nic nie widział, nie słyszał prócz wiosny;
A jam zapłakał i mówiłem w sercu:
O Panie! czemuż ja nie jestem ptakiem!

FELICYAN FALEŃSKI.

(1825 — 1911)

MEANDRY.

Wiedz: że czynem nie zaś słowy,
Stać masz u Pańskiego żniwa —
Bo tu za nic chęć chełpliwa.
Ten, kto zdaniem własnej głowy,
Do wszystkiego jest gotowy,
Do niczego zwykle bywa.

Prawem głoszonem po świecie,
Jest mi ku serca ozdobie,
Gdy komu dobrze coś zrobię,
Więc mówcie sobie co chcecie,
Lecz dobrze czyniąc drugim, człek przecie
Uczynił dobrze sam sobie.

— Wilk — zbrodniarz! — Wdowa opuszczona
Biadała, płacząc nad swą stratą:
— Kozę mi, matkę zjadł brodatą,
Której żywiły mię wymiona!
O! bodaj żywcem pękł, nim skona!
Bodaj się w piekle prażył za to!

— Wilk — zbawca! — z rzeszą swą rozsiadłą
Na kapuścianej w sadzie naci,
Gwarzyła liszka, ciesząc braci:
— Zjadł kozę, podłe czupiradło,
Nim ono nas z kapustą zjadło —
Niech Bóg mu za to niebem płaci!

Gdy kiedy sądzę: żem się już zupełnie
Mej pychy pozbył — jestem nazbyt skory
W złudne się bawić pozory.
Bom tylko wtenczas wilk w jagnięcej wełnie
I znów, jak wprzódy, grzech odwieczny pełnię.

Ten kto się chwiejną myślą para
Szukając prawdy — ma szalenie
Niepokój własny w zbytniej cenie.
Bowiem, najprostsza ufność stara
Stokroć jest mędrsza niż niewiara —
Lecz najmniej mądrem jest wątpienie.

Śmieszności, brzęcząc, myśl wesoła,
Aby z niej zysk był w czynie,
Miód winna zbierać, gdyż jedynie
Wśród kwiatów żyć bezkarnie zdoła.
Nech tylko raz ukąsi pszczoła,
Wnet marnie potem ginie.

Nie goń za marną głupców chwałą,
Byś w słów szermierce stał na czele.
Językiem niech tam kto chce miele,
Ty milcz. Bo zawsze tak się stało:
Żeś tyleż zyskał, mówiąc mało,
Co tamten stracił, mówiąc wiele.

Dawaj, nie patrząc: komu dasz. Jeżeli
Twe dobro na złe użył człek ladaco,
Nie tyś jest winien: kto je wziął? i na co?
Pan jest skarbnikiem spraw tych wierzycieli.

Nie mówcie tego: że na świecie
W zło można popaść po niewoli:
Samiście tego co was boli
Chcieli — choć o tem niezbyt wiecie.
Toż nie kto inny, tylko przecie
Sam człowiek, władcą jest swej doli.

Z jakąż to skrzętnością żwawą,
Pilnujemy się łaskawi,
Cudzych grzechów i bezprawi!
Lecz chłoszcząc w lewo i w prawo,
Czekamy z własną poprawą,
Aż świat cały się poprawi.

Najsroższych przeciwności szały,
Zgarnięte w jedno zebranie,
Nigdy tak niesłychanie
Nikogo skrzywdzić nie zdołały,
Jak człowiek w upadku swym zwątpiały
Sam siebie skrzywdzić jest w stanie.

Używaj życia! — tak wy mówicie —
A szczytu szczęścia ten dopnie,
Kto zawsze działał roztropnie. —
Lecz czyż się łatwo wstrzymać na szczycie?
Życie, użycie i nadużycie:
To do upadku trzy stopnie.

Drzemię ja w nocy i w dziennej dobie,
I marząc w lubym obłędzie,
Że Bóg nademną zawsze i wszędzie,
Co dziś mam zrobić, to jutro zrobię —
Bo mówię sobie:
— Jakoś to będzie.

Ten tylko winien być w cenie
W rzeczach społecznej naprawy,
Kto osobiste swe sprawy
Wprzód już załatwił. Gdyż to szalenie
Rzecz dziwna, jeśli publiczne mienie
Łata, czyj but dziurawy,

Z chwil falą każdą na twej łodzi
Wpływasz w wieczności senne dzieje.
Więc nie mów, złudną klnąc nadzieję:
Że śmierć się skrada tak jak złodziej.
Czyż nie ma umrzeć, co się rodzi?
To, co przemija, czyż istnieje?

Pająk, wśród kurzu siedząc i śmieci,
W milczeniu czyha, aż się dosłucha
Brzęku mknącego gdzieś lekkoducha.
Mogłaby mucha ujść jego sieci,
Lecz, gdy w nią oślep z rozmachem wleci —
To, kto tu winien: pająk, czy mucha?

Mówicie: — Zawsze hasłem było —
„Gnieść, bo inaczej ciebie zgniotą".
Lecz cóż się stało z prawdą złotą:
„Nie czyń, co tobie jest nie miło?" —
Toż cnota zawsze bywa siłą —
Lecz siła może nie być cnotą.

Czyś się w sukmanie rodził, czy w zbroi,
Czasem cię lada różnica,
Potępia, albo zaszczyca.
Bo czyż raz, w całej prostocie swojej,
Wart bywa więcej chłop, który stoi,
Od uklękłego szlachcica.

Przez byt nasz ziemski, w naszej mgły obłędzie,
Suniemy nikłe cienie,
Któż schwyci trwania mgnienie —
Gdy się z przyszłością, przeszłość styka wszędzie?
Więc snadź, obecność, gdzieś, lecz nie tu będzie
Istniała nieskończenie.

Tak kiedy każdy naszej błysk źrenicy
Wieczność w dwie równe części w pół przecina,
Błogosławiona będzie ta godzina,
Gdy jako prawi śmiertelnicy,
Spotkamy wzrok tej bladolicej,
W którym jest wiedza jedyna.

Łechce cię pochlebstw dźwięk uroczy —
Cóż, kiedy słodka słów tych zdrada,
Od najbliższego wnet sąsiada,
Z obmową przeciw tobie kroczy.
Lecz, kto ci prawdę mówi w oczy,
Ten cię za oczy nie obgada.

Wiecież, o mili towarzysze!
Nauka dla was w czem ukryta?
Wszyscy piszecie — nikt nie czyta.
Lecz niechby czytał, ten kto pisze —
I mielibyśmy w czas i ciszę,
I w kąt by poszedł sąd z kopyta.

Że kto młody w chmury strzał
Obces pędzi — to nie powiem,
By źle sobą rządził — bowiem
Krewkość — to chwalebny szał.
Gdyby miesiąc w miejscu stał —
Wiecznie byłby nowiem.

Gdy mówię, czując szron uczoła:
Że lat mam tyle a tyle —
To osobliwie się mylę.
Owszem — tych lat już nie mam zgoła —
Bowiem, któż mieć napowrót zdoła
Coś, co już w mgle jest i w pyle.

Ktom jest? Gdziem jest? badać wam daremnie.
Tchnąłem w przestrzeń, w czas, i rozedniały
Jednym błyskiem mej świetlanej chwały,
Zimne, głuche, ślepe, nieme ciemnie.
Jeden atom, który wyszedł ze Mnie,
Stał się światem... a Jam został cały.

Nieskończoności środkiem jest skrzydlata
Myśl — jak to sprawdzę najprościej.
W przestrzeni bowiem, gdziebądź ona gości,
Lub gromu błyskiem przelata,
Od wszystkich krańców Wszechświata
Zawsze w jednakiej bywa odległości.

Poco ci z tego szukać marnej chwały:
By głośne były twe czyny?
Gdy z nich pożytek jedyny,
Jeśli przed Panem staniesz w szacie białej,
Którą wprzód gorzkie twoje łzy wyprały
Z wszelakiej winy,

Człek żyje ponad własne siły,
Gdy w trudach pędząc znojne chwile,
Ma niepotrzebnych potrzeb tyle,
Na to: ażeby do mogiły,
Cztery mu deski wystarczyły,
I sucha piasku garść w mogile.

CYPRYAN NORWID.

(1825—1883)

POGRZEBY.

Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie,[1])
Że ci ze złota statuę lud niesie,
Otruwszy pierwej?
Coś ty Italii zrobił, Alighieri
Że ci dwa groby [2]) stawi lud nieszczery,
Wygnawszy pierwej?
Coś ty, Kolumbie, zrobił Europie,
Że ci trzy groby we trzech miejscach kopie [3])
Okuwszy pierwej?...
Coś ty uczynił swoim, Camoensie,
Że po raz drugi[4]) grób twój grabarz trzęsie,
Zgłodziwszy pierwej?
Coś ty Kościuszko, zawinił na świecie,
Że dwa cię głazy we dwu stronach gniecie [5]),
Bez miejsca pierwej?

---

[1]) Sokratesowi, w kilka czasów po śmierci jego, Ateńczycy statuę ze złota postawili.

[2]) Dante grzebany w Rawennie i we Florencyi.

[3]) Krzysztof Kolumb jest grzebany w Hiszpanii, w St.-Domingo i w Hawannie.

[4]) Szukano na cmentarzu komunalnym, gdzie był pochowany jednooki bez nogi żebrak, ażeby Camoensa pochować.

[5]) Kościuszko leży w Solurze i w Krakowie.

Coś ty uczynił światu, Napolionie,
Że cię w dwa groby [1]) zamknięto po zgonie,
Zamknąwszy pierwej?
Coś ty uczynił ludziom, Mickiewiczu?
. . . .
Więc mniejsza o to, w jakiej spoczniesz urnie,
Gdzie? kiedy? w jakim sensie i obliczu,
Bo grób twój jeszcze odemkną powtórnie,
Inaczej będą głosić twe zasługi
I łez wylanych dziś będą się wstydzić,
A lać ci będą łzy potęgi drugiej
Ci co człowiekiem nie mogli cię widzieć.
Każdego z takich, jak Ty, świat nie może
Odrazu przyjąć na spokojne łoże
I nie przyjmował nigdy, jak wiek wieków.
Bo glina w glinę wtapia się bez przerwy,
Gdy sprzeczne ciała zbija się aż ćwiekiem
Później... lub pierwej...

POSIEDZENIE.

Z ogromnej sali wyniesiono śmiecie
I kurz otarto z krzeseł. Weszli męże
I siedli z szmerem, jak w pochwy oręże,
I ogłosili... cóż?... że są w komplecie!
I siedzą, siedzą, aż tam gdzieś na świecie
Waryat wynajdzie parę, a artysta
Podrzędny — promień słoneczny utrwali,
A nieuczony jakiś tam dentysta
Od wszech boleści człowieka ocali.
A akademie milczą... lecz w komplecie.

[1]) Napoleona drugi pogrzeb.

DOBRA WOLA.

— Przepraszam państwo, lecz przyszła wiadomość,
Że się Uranus wstrząsa...
— Mniejsza o to
Co tam po niebie gdzieś patrzysz Jegomość,
To astronomów rzecz, niech sobie plotą.
— Przepraszam państwo, ale panna Klara
Na pannę Różę powiedziała „stara"
I pod ten wachlarz bilecik schowała.
— Gdzież? jaki? dawaj — to rzecz doskonała!

PIEŚŃ OD ZIEMI NASZEJ.

„Et aux horions, l'on verra qui a meilleur droit—".
Jeanne d'Arc.

I.

— Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica,
Tam jest mój środek dziś — tam ma *stolica,*
Tam jest mój gród.

Od wschodu, *mądrość-kłamstwa* i ciemnota,
Karności harap lub samotrzask z złota,
Trąd, jad i brud.

Na zachód, *kłamstwo-wiedzy* i błyskotność,
Formalizm prawdy — wnętrza bez-istotność,
A pycha pych!

Na północ — zachód z wschodem w zespoleniu,
A na południu, *nadzieja w zwątpieniu*
O złości złych!

II.

Więc — mamże oczy zakryć i paść twarzą,
Wołając, kopyt niech mię grady zmażą,
Jak pierwo-traw!

Lub, mamże barki wyrzucać do góry —
Za lada gwiazdką ze złotemi pióry —
Za sny nieść jaw?

Więc mamże nie czuć, jaką na wulkanie
Stałem się wyspą, gdzie łez winobranie
I czarnej krwi!...

Lub znać, co ogień z łona mi wypali?
Gdzie spełznie? — *odkąd nie postąpi dalej?* —
I — zmarszczyć brwi...

III.

Gdy *ducha* z mózgu nie wywikłasz tkanin,
Wtedy cię czekam — ja, głupi Słowianin,
Zachodzie — ty!...

A tobie, Wschodzie, znaczę *dzień-widzenia,*
Gdy już jednego nie będzie sumienia
W ogromni twej.

Południe! klaśniesz mi, bo klaszczesz mocy;
A ciebie minę, o głucha Północy,
I wstanę *sam,*

Braterstwo ludom dam, *gdy łzy osuszę,*
Bo wiem, co *własność* ma — co *ścierpieć muszę:*
Bo już *się znam.*

KLĄTWY.

Wspomnij Panie na zelżywość sług Twoich — a jakom ponosił wzgardę w zanadrzu swem od wszystkich narodów możnych.

Psalm LXXXIX.

— Żaden król polski nie stał na szafocie,
A więc nam Francuz powie — *buntowniki!*
Żaden mnich polski nie bluźnił wszech-cnocie,
Więc nam heretyk powie — *heretyki!*
Żaden pług polski cudzej nie pruł ziemi,
Więc poczytani będziem jak *złodzieje;*
Żaden duch polski nie zerwał z swojemi,
A więc *nas* uczyć będą — czem są dzieje? —
Ale czas idzie, *Szlachty-Chrystusowej,*
Sumienia-głosu i wiedzy-bezmowej:
Ale czas idzie — i prości się droga...
Strach tym — co *dzisiaj* bać się uczą Boga.

FRASZKA.

Dewocya krzyczy: „Michelet wychodzi z kościoła"
Prawda; dewocya tylko tego nie postrzegła,
Że za kościołem *człowiek* o ratunek woła,
Że kona — że, ażeby krew go nie ubiegła,
To ornat drze się w pasy i związuje rany:

*

A faryzeusz mimo idzie zadumany...

ZDROWY SĄD.

Oj! zasługuje na wielką naganę,
Kto *kala* gniazdo własne — ale taki,
Co *widzi,* ile gniazdo jest skalane,
To mi dopiero łotr, to ladajaki!...
— Taki jest cynik lub niezrozumiały,
Porządek nawet może popsuć wieczny;
Takiego wartoby z Tarpejskiej skały
Potrącić... człek to bardzo niebezpieczny (!).

W ALBUMIE HR. ***

I.

— Szlachectwo jest to równość — bo jeżeli
Się na szlachetnych *i więcej-szlachetnych*
I *niezupełnie-szlachetnych* podzieli,
To wszyscy podli... synowie *bezdzietnych!*

II.

— Bo bez szlachectwa równość nie istnieje,
Ani szlachectwa bez równości niema;
Duch wieczny w mrokach staropolskich dnieje
I rozpromienia się skrzydły obiema.
I czasy przyjdą takie, że Europa,
Co tu i owdzie o foremki woła,
Będzie jak koło kruszwickiego chłopa,
A ramię *Boże* jak oś tego koła!

WIELKOŚĆ.

1.

Wiesz, kto jest *wielkim?* — posłuchaj mię chwilę,
Nauczę ciebie
Poznawać wielkość nietylko w mogile,
W dziejach, lub w niebie.

2.

Wielkim jest człowiek, któremu wystarczy
Pochylić czoła,
Żeby bez włóczni w ręku i bez tarczy
Zwyciężył zgoła!

3.

Niższym się stawszy, on zawiść poniża,
A zawiść w czwały
Leci i czepia mu znamiona *krzyża,*
Wołając: „*mały!*"

4.

I kłamie sobie, jak kłamała pierwej,
Gdy on, z westchnieniem,
Przyjmuje sławę i niesławę — *nerwy,*
Prawdę — *sumieniem.*

5.

Ludzie więc chlubią się, że wielkich znali,
K'temu jedynie:
Iż nie poznają się na wielkim mali
Pierwej, aż zginie.

PISARSTWO.

— Ktokolwiek pisze rzeczy jak one się dzieją
Ten stawa się cynikiem; — kto, jak się dziać mogą?
Ten bywa wizyonerem, radzi się zeń śmieją
I bardzo słusznie; — trzecią zaś kto idzie drogą,
Czyli, kto pisze jak się rzeczy dziać powinny?
Ten bywa nawet zdrajcą — to niemniej jest słusznie,
Bowiem zdradza nałogi. Pierwszy więc jest gminny
I płaski; — drugi marzy tylko wielkodusznie,
Trzeci zaś obrał drogę, dopóki żyw, brudną:
Styl jego nieprzystępny i intryga nudną.
Tak więc — nie piszmy w onych trzech zboczeniach [głównych
To jest: nie piszmy wcale...

CZUŁOŚĆ.

Czułość bywa jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebowy.

I jak plecionka długa z włosów blond,
Na której wdowiec nosić zwykł
Zegarek srebrny — — —

PRZEPIS NA POWIEŚĆ WARSZAWSKĄ.

Weź głupiej szlachty figur trzy — przepiłuj,
Będzie sześć — dodaj żydów z ekonomem,
Zamieszaj piórem albo batem wyłój,
I dolej wody aż się stanie tonem —

Zagrzej to, albo — gdy masz czas — umiłuj!...
Nareszcie pannę zrumienioną sromem
Jak rzodkiew, zanurz — dla intrygi krótszej
Dodaj wór rubli, zamieszaj i utrzyj.

MAŁE DZIECI.

Ona jest piękna w dziewiętnastym roku,
On lat ma dwadzieścia cztery —
O głowę wyższy stojąc przy jej boku —
Oboje różanej cery...

On jej godny, ona jego warta,
On pięć milionów posiada,
Ona około milionów półczwarta — —
Żenią się... Sukcesya spada!

I nagle on ma półszósta miliona,
Ona półczwarta, jak pierwej!...
Istny mezalians — lecz już ślubna żona —
Oboje cierpią na nerwy.

Lekarze co tchu do wód ich posłali,
Gdzie się ona wód napiła —
Napił się i on, i gdy powracali,
Harmonia z nimi wróciła.

I dzieci mieli — a dzieci ich dzieci
Takie mnóstwo dzieci małych,
Że po dwu wiekach już zbliża się trzeci,
A brak jeszcze ludzi dojrzałych.

JĘZYK OJCZYSTY.

„Gromem bądźmy pierw niźli grzmotem,
Oto tęsknią i rżą konie stepowe,
Górą *czyny!*... a słowa? a myśli?... potem!.
Wróg pokalał już i ojców mowę!“ —
Energumen tak krzyczał do Lirnika
I uderzał w tarcz, aż się wygięła.
Lirnik na to:
„Nie miecz, nie tarcz — bronią Języka,
Lecz — arcydzieła!“

CZAS I PRAWDA.

Iluż ja świeżych książek widziałem skonanie
W samej wiośnie ich życia!... A nie były tanie,
I kiedy je składano, czekał świat, by wyszły,
Przewidując wzruszenie, albo oklask przyszły,
I kiedy je sznurówką zejmano w poszyty,
Świat szeptał, jak w alkowach przed balem kobiety.

A gdy wyszły?... Zostały porwane — a potem
Chwila cieniu i ciszy, jak bywa przed grzmoetm,
Lecz czułeś, że znienacka światło się rozpostrze,
I wiew kart i jak po nich biegło noża ostrze,
Czułeś — — a w dni niewiele słyszałeś, co chwila,
W rozmowach sąd, i w którą się stronę przechyla,
I jak przerwany bywa wniesieniem herbaty,
Na wsi — przejażdżką, w mieście — kupnem nowej szaty,

A w tydzień już się same okładki tych książek
Odchylają, jak krańce używanych wstążek,
Gdzieniegdzie i pył leci, jak w popielną środę,
Na niebotyczny ustęp, na skrzydlatą odę,
I słychać... że ktoś chyłkiem wzmiankował niechcący
O pewnej innej książce, wyjść wkrótce mającej.

— Tak jest dziś tu i ówdzie... Lecz u nas wychodzą
Książki zapóźno, *czyny* zawcześnie się rodzą,
Co jeśli potrwa, — męże będą mieli siły
Nienarodzonych wnuków, a rozum — mogiły!

Towarzystwo uczonych niebawem w tej mierze
Gdzieś — kiedyś — się zgromadzi, skoro *składki* zbierze,
I dnia tego felieton zaświta w Poznaniu,
Poświęcony onemu rzeczy sprawozdaniu,
A który czytać będzie dobry obywatel
Także przez *poświęcenie*... (nie dla czczych bagatel!...)
Wtedy — sam Długosz wyjdzie: *Kuryerek* zamieści:
„*Z Berlina.* Słychać... Krążą niewątpliwie wieści...
„Jakkolwiek owym wieściom męże zaufania
„Przeczą — i rozdzielone są krążące zdania..."
— Lecz nie śpi korespondent *Czasu*... ten wymaca
Grunt prawdy i firmament przekreśli jak raca,
Po *obłokach tłómaczeń* pozłoci rzęsisto,
By wszystkiemi orzeknąć języki myśl czystą!

W każdym kraju inaczej prawda się udziela,
Lubo wszędzie jednego ma nieprzyjaciela,
A tym jest *kłamstwo,* tudzież *lenistwo* i *pycha,*
I *nerwów wstręt,* co, aby mieć spokój, ucicha,
Mało dbając (choć prawie to wiedzy zarodkiem),
Że bywa słowo pierwej *celem,* niźli *środkiem,*

I że dziś, język kształcąc, nie zgadujem wcale,
Jakie głosić nim będą wesela lub żale
Za lat sto... że więc *radość*, że *boleść*, że *modła*
Dla tego się w lakonizm zawrzeć nie umieją,
Iż wzdychają za *przyszłych*, łkając jako źródła,
Do których inni przyjdą, w dzbany swe naleją
I będą pić ochłodę wyczerpując z dzbana, —
Lub — gdy nie znajdą źródeł, pójdzie im z ust piana!

* * *

Powiedz im, że duch odbrzmiał myśli wiecznej,
Nerwy że poszły palcami na klawisz,
Uginający się i niebezpieczny
Most nad przepaścią...

...oni, że ich bawisz,
Szepną, i chrząkną, i krzesły swojemi
Stwierdzą że siedli, i że są na ziemi,
I że istnieją na planecie, który
Niesie ich rączo — a pono do góry!...

Więc ty im rzeknij, że żywot i słońce
Zatrzymał człowiek na włosie pędzlowym,
Jako na rzęsach ducha, że w bezkońce
Otchłani wziera spojrzeniem takowem...
Oni, ,to słysząc, utrą nos, by jasno
Stwierdzić, że czujni są i wraz nie zasną.

A przeto krzyknij już, że w Betlejemie
Bóg się narodził...

...i że więc co roku

Cieszą się ludzie — zaś niebici w ciemię
Jadają sporo, na sianie, o zmroku,
Pod rozżarzonej konstelacyi znakiem:
Jadają ryby, miód i kluski z makiem!

RZEŹBIARZ.

Cała plastyki tajemnica
Tylko w tem jednem jest,
Że duch — jak błyskawica,
A chce go ująć gest.
    Zachwyca się i rozchwyca
    I swoje rączki dwie
    Do wicąż nieobjętego
    W szeroki przestwór rwie!
Ta tylko, która niańczy,
I ten, co dłuto imał,
Ta tylko, która tańczy,
I ten, co ramię trzymał,
Ci tylko — i ziemi łono
Oddychające po deszcz —
Poruszają ducha zasłoną
    W rytm i w dreszcz!

MECENAS.

Skoro sztuki dziwne *misterya*
Pojmujesz tak, mistrzu rzeźbiarzu,
Niech już ś. p. Walerya
(Moja żona) ma na cmentarzu
Twego dłuta monument — —

Niech już będzie z kamienia
Anioł, w akcie modlenia
Patrzący na postument,
Gdzie herby dwa po stronach,
W floresach i koronach,
Tak, by każdy widz czuły
Wzdychał z serca czeluści,
Mówiąc (według formuły):
„Niechaj im Bóg odpuści!"

MÓJ PSALM.

Maryj rozlicznych (a tych nigdy dosyć!),
Jasnych Magdalen z bujnemi włosami,
Roztropnych Zofij i genialnych Teres,
I dnie i noce, nie ustawam prosić,
Żeby raz skończył świat *z intercsami...*

Ta jest modlitwa ma — i ten interes,
Żeby raz ludzkość weszła do okresu,
Który jej zdawna należy logicznie,
Gdzie już żadnego niema interesu
I gdzie już nic się nie robi praktycznie.

I o to święte proszę które noszą
Grzebień z promieni i łzę mają w oku,
I z Weroniką od łkań się zanoszą
Na purpurowym obłoku...

PURYTANIZM.

Na *purytanizm,* jak na rzecz obrzydłą,
Czemu się gniewam? — pytasz. *Primo:* wcale
Że się nie gniewam na najczystsze mydło,
Którego *pianę, to jest wartość,* chwalę.

Pozwól mi tylko gęsiem skreślić piórem
(Które pluskało się przez żywot cały),
Że mydło nie jest rzeziebnym marmurem,
Dobre na bańki — nie na *ideały!*

Zaś — ideały są wryte jak czyny,
Cokolwiek o nich trzyma gmin obecny,
Robiąc swych wielkich mężów z stearyny.[1])
(Sposób dość tani, ale bardziej niecny).

Słowem — że w mydło wierzę niezachwianie,
Lecz gdyby kto chciał, abym przez to samo
Wziął się do pracy, stawić z nim mieszkanie
Bogów, gościnne tryumfalną bramą
Z tak niesłychanie przeczystej materyi
Jak *purytanizm,* — to zrobiłbym może
Nie kościół, ale utrapienie Boże,
Alabastrowe jak śniegi w Syberyi!

I byłbym biały, jak owa dziewica
Biała, w szelestnej sukni atłasowej,
Mająca perły i jaśmin u lica,
Bez przyganienia od stopy do głowy.
Lecz skąd te perły?... dla niej tajemnica
(Bo jest niewinną — i o tem ni mowy!),
Pokąd się perły nie rozpłaczą gradem,
Pozostawiając cierniowy dyadem.
Ergo: uważam za istne prawidło
(W którego kole się zaklętem kręci),
Że marmur — marmur, zaś mydło jest mydło,
Że *robić z mydła to umywać ręce!*

---

[1]) Popiersia sławnych mężów odlewają dziś z czyszczonego łoju, zwanego *stearyną* (*p. autora*).

Lubo — gdy wspomnę praczki polskie, które
Ponad stawami klepią coś, jak chmurę
Obciężałego wilgocią i mrokiem,
Aż poprawują fartucha pod bokiem
I amazonne ręce swoje błocą...
(Z czego ktoś piękny zrobiłby obrazek,
Ile że stawy te się słońcem złocą) —
Dwakroć oceniam *mydła wynalazek!*

T O A S T.

FANTAZYA.

Przed starych sprzętów sklepem stał *biust Apollina*
W grubej pół-masce z kurzu, a *stołowa noga*
Ramię mu ocierała, nie wiedząc, że boga; —
I było cicho... szara upiorów godzina,
Czas, w którym nieme rzeczy zamieniają słowa:
Miotła sznuruje kibić wstęgi brzozowemi,
Kij czeka jej, acz łysy, jak gałka słoniowa,
Płaszcz się z rozpaczy wiesza, nie tykając ziemi!...
Księgi, co grubszym tomem, naśladują cmentarz.
Smutno jest i mistycznie, *komar* nucić wszczyna,
Lecz *świerszcz* znienacka szepnął mu swoje: *„pamiętasz?"*
I znów milczenie... alić, sąsiad Apollina,
Zwichnięty *daguerotyp,* z lornetą w źrenicy,
Tak pocznie do *lichtarza* starego bez świecy:
„Nudne jest towarzystwo bez ładu i składu,
Jakkolwiek *mnie* pierwszeństwo da kupiec dzisiejszy".
— „Wątpim", *stołowe nogi* parskną nie bez jadu,
A z niemi *garnek* „jam jest" gruchnie „potrzebniejszy".
„Jak komu" *miotła* doda, co *kij* poparł miną,
W kąt się chowając za jej wielką krynoliną.

Sztylet drżał, ale czekał, aż krwawiej się zadrą, —
Gdy sprzęty gminne, to jest: *kocioł* osmalony,
Buraków pełen, tudzież *wody czystej wiadro,*
Milczały w sieni, zdala rozprawy uczonej.

Wszelako rzeczy drobnej, *zapałki chemicznej,*
Milczenie kryło w sobie sens dyplomatyczny;
Szarej godziny bowiem chwile są niedługie
I już, już z świecą w ręku wyglądano sługę,
Gdy spór ów między sprzęty trwał o lepszość losu,
Komu człek da pierwszeństwo wśród tego chaosu,
Ku czemu ręka jego naprzód się przybliży
W stanie *rzeczy,* o których rzekło się powyżej...

Nagle stąpanie słychać. — Chwila!... znów stąpanie
I gwar niezwykły, przyczem dymu kłąb z iskrami,
Jako machina skoro parowa ustanie,
Dysząc, — a ludzie z szmerem wysiadają sami,
Ten i ów, niosąc przed się coś, wtedy wybiega.
Taki-to więc gwar powstał, acz z innej przyczyny:
Kiedy wśród dymu, który ciężko się rozlega,
Wśród skier, co jako złote wiją się gadziny,
Zabrzmiały krzyki: *„Pożar!*... „Wraz mąż jeden, drugi.
Z rozwianym włosem, ręką silną, mąż barczysty,
Przebiegli sklep, na sprzętów niebaczni zasługi,
W objęcia biorąc ciche *wiadro wody czystej*...

I oto ciekawości niejeden amator
Antykwaryusza sklep ów mijał, gdy z okrzyki
Na rzeszy barkach *wiadro,* jako tryumfator,
Poważnie milcząc, swoje sprawowało szyki.
Ludu duch, jak gdy dziejów świat przeczuwa erę,
Służył mu, na *wylanie* oczekiwał *szczere*...

O! wodo czysta, cóż stąd, że poeci tacy
Dzisiejsi... co od głowy do stóp brną w *nadzei*
(Ale ich *życiem* rzadko spotkasz w epopei),
Dzisiejsi, mówię, jako taki Pan Horacy...
Cóż stąd, że oni, którym umywałaś nogi,
O! *wodo czysta*... bardzo zapomnieli ciebie,
Służebnej, cichej, prostej, szczególnie ubogiej,
W której jest *błękit niebios* i która jest *w niebie*.

Azali bowiem przeto, za tysiącem, za stem
Tysięcy mil, na morzu, wśród drogi zmylonej,
Gdy *wody* szklankę żeglarz znajduje niesłonej,
Jest mu ta *mniej smakownym, pełnym mniej toastem?*—
I który *Falern*, albo *Cypr*, swemi jagody
Z macicyby na *wino* mienił się bez wody?...

POST SCRIPTUM.

Nietylko *przyszłość* wieczna jest — nietylko!...
I przeszłość owszem wieczności jest dobą:
Co stało się już, nie odstanie chwilką...
Wróci Ideą, nie powróci *sobą*.

— Przeszłość ma wieczność w wieczystej połowie:
Zamknąć — odemknąć — zarówno się uczem!
Tylko wy dzisiaj, klasyczni mistrzowie,
Wiecie też, którym, gdzie poczynać kluczem?

— Z tragedyi całej klasycznego świata
Podziały znacie, a z wymowy *style;*
To, jakby poszedł kto na grobie brata
Herboryzować! zioła rwać!... to tyle!...?

— Kartki łacińskie przyczepiać do krzewów
Rozpłakujących się nad ruinami —
Nie!... wolę smętne szumy białodrzewów
Z bezimiennemi w gwarze ruinami,
I wolę z bladym srebrnej łzy świecznikiem
W podziemia schodzić, niż z waszym słownikiem.

LEONARD SOWIŃSKI.

(1831—1887)

POBIELANE GROBY.

Wy, pobielane modlitwy groby!
Kurzawo brudna bożego domu!
Od was zaczynam przegląd żałoby,
Was pierwszych stawiam pod pręgierz sromu....

Gdy lud zważywszy wasze rozumy
I strupieszałej piersi popioły,
Odepchnie próżne roszczenia dumy, —
Wy, jak strącone ryczące anioły,
Ciskacie gromy na ciemne tłumy
I znieważacie myśli kościoły...

Czemuż tej ciżbie służyć nie chcecie,
Kiedy przewodzić jej nie umiecie?...
Wszak Zbawca świata cichym być każe:
Lecz wy niezdolni kornej miłości,
Bezwstydem dumnym w masce świętości
Kalacie czyste Boga ołtarze..,

Słowo ofiary, zgody, pokoju,
Zamiast utwierdzać życia przykładem,
Zatruwszy gorzkim zawiści jadem,
Czynicie hasłem kłótni i boju.

Jałmużna wasza o kamień dzwoni,
Modlitwa echem od ścian powraca,
Anioł od westchnień kłamanych stroni...
Faryzeusze! tu wasza płaca:

Bo tu, na ziemi, wszystko już macie,
I dymy wonne i skarb niemały,
I pośród jęków troski nie znacie...
Grób ten wasz — wiecznie zimny i biały!

Lecz tam, na sądów niezłomnych szali,
Kropelka potu lub krwi Łazarzy
Nad hymny wasze Boga pochwali
I przyszłość ludów przeważy.

O, zwróćcie raczej żalu spojrzenie
Na pustki w gruzach leżącej wiary,
Na społeczeństwa skrzepłe sumienie,
Na odłogowe czynu obszary;

A jeśli dumy nędznej uczucie
Prawdy wam jeszcze w sercu nie tknęło,
Widząc tych nasion bożych zepsucie,
Bijcie się w piersi! — to wasze dzieło...

Bo wielkość boża nie z prochu ziemi,
A wy ją w blasku marnym pojęli!
Bo wiara żywa czynem się plemi,
A wy ją w słowo trupie zamknęli...

WOJNA.

Jak meteor, gwiaździsty światów potępieniec,
Gdy w bezgraniczną toń na skrzydłach mgnienia runie,
Strącając blasków rozerwany wieniec:
Tak naród w wojnie, z czołem w krwawej łunie
Od ognia dum piekielnych w głębi źrenic,
Nan bezdnią lśni, ciskając piorun po piorunie.

O gwiazdo Boża, błędna! dokąd lecisz?
Czy tam, ku słońcu, w promienniejszą dal?
Czy śmierci własnej pożarami świecisz,
Aż znikniesz wśród nieskończoności fal? ...

Ludzkości! kiedyż *jutro* twych zawiei?
I jakiż kres twych łzami zlanych dróg?...
Czy nowy trud i walka bez nadziei?
Czy miłość bratnia — szczęście — prawda — Bóg?...

Tymczasem gniew, nienawiść, zemsta, w ciżbach całych,
Buchając nakształt dymów płonącego grodu...
Zdeptane pola wdów i sierot małych,
Nasiąkłe krwią, wydają widma głodu...
Ach! mleko nawet w piersiach schnie zbolałych,
Co miały żywić synów ziemi i narodu!...

Bo zamiast sierpa, ręka oręż ściska,
I pod strzechami wiejskich cichych chat
Pożogi sztandar purpurowy błyska,
A w kmiecą pierś — bezmyślnie godzi brat!...

Ach, czemuż pośród zgliszcz i trupa stosów,
Nie stanie serc Archanioł, rodzin stróż?...
Przecz nie odwróci bratobójczych ciosów,
Wskazując łona, w których utkwi nóż?...

Szeregiem mogił w duchu ludzkim i na ziemi
Naznacza zwycięzko Bóg pochodu swego ślady...
U każdych drzwi niepokój staje blady,
I rozpacz stopy skrada się cichemi,
Tysiące przeczuć czarnych śląc na zwiady,
Z myślami skronie matek ubielającemi...

I ojciec stary jęknie w głębi serca:
„Nadzieję, szczęście, wszystko wziął mi wróg...
Uroda, dzielność, młodość... o morderca!...
I jest-że niebo, sprawiedliwość, Bóg?!...

A matki ból, ten straszny ból Nijoby?!...
Zginęła przeszłość, przyszłość, cały świat!...
Otwórzcie się, ogromne, czarne groby,
Powróćcie sercom tyle drogich strat!

A tam — ze ślubną, świeżo rozplecioną kosą,
Dziewica jaśniejąca szczęściem i zachwytem,
Jak kwiat poranną promienisty rosą,
Zacina nagle usta męki zgrzytem...
Za kilka dni na cmentarz ją poniosą...
O biedna! śmierć ją splotła z życia jej rozkwitem...

Gdzieindziej w gruzach spalonego domu
Gromadka dziatek drobnych płacze w głos,
Rodzica topór, matkę bezmiar sromu,
A przyszłość całą zabił — Bóg, czy los!...

Wyzutym z mienia, steru i nauki,
Nie wróci litość zatraconych sił...
Zmarniały byt ich odziedziczą wnuki;
O nikim bracia nie powiedzą: „żył!“

Szlachetne trudy wiedzy, prawd i światła chciwej,
Mistrzowstwo sztuki twórcze, pieśni szczytne tony,
Zabiegi pracy płodnej i poczciwej, —
Ach, wszystko chłonie wojny wir szalony!
I duch się pyta w trwodze rozpaczliwej:
Czy pięść zastąpi w końcu Zakon objawiony?...

Bo liczba tylko, a nie wyższe prawo,
Lub natchnień kainowych zapęd lwi,
Wytwarza w wojnie czyn wielmożny sławą,
Ozdobny laurem i purpurą krwi.

Więc kiedy słuszność nieraz w proch upada,
A krzywda ostry w górę wznosi miecz,
Czyż w tem postępu kryć się ma zasada,
I dzieje ludzkie czyż nie pójdą wstecz!...

Na podań, zasad, wiar, przekonań, rumowiskach —
Fatalizm coraz wyżej dumne wznosi czoło...
Przy wielkich, w cześć potęgi, uczt ogniskach,
Pogańskie żądze roją się wesoło...
Omdlewa duch w materyi uściskach —
I pycha miłość z serc wyplenia naokoło.

O, kiedyż wielkie, z krzyża grzmiące słowo
I ludów tylu zmarnowana krew,
Ożywi w dziejach boskich plon na nowo,
Złagodzi zemstę, zawiść, dumę, gniew?...

Chlubimy się stu wieków sławnym trudem; —
Przecz dotąd waśnie szarpią bratni gmin?!...
O! kiedyż jednym Bóg nas ujrzy ludem?
O! kiedyż wiara nasza przejdzie w czyn?...

CHŁOP I SZLACHTA.

Gdy chłop własnością być przestanie,
Cóżby się wtenczas z całą szlachtą stało?
Wtenczas dla szlachty kres ostatni kleski,
Wtenczas szlachectwo jest rzeczą zbutwiałą.

DO LIRYKÓW DZISIEJSZYCH.

Potęgi! — prawdy! — życia! —
Promiennych myśli! — serca bicia! —
Natury! — ludzi!
Nie innej pieśni świat dziś żąda;
A na tych, którzy wiecznie kwilą,
Marzenia kołysani chwilą —
O lirycy! już nikt się nie ogląda.

Napróżno w roztkliwionej piersi
Stawiacie ołtarzyki drobne,
Wiankami polnych ziół ozdobne...
O najrzewniejsi i najszczersi!

Przestańcie wyśpiewywać luźnie
Bezmyślne egotyczne dumy;
A wejdźcie w pracy gminnej kuźnie,
Śpiewajcie to co czują tłumy —
Lub milczcie!...

JAD MIŁOSNY.

Chciałbym ogniem i krwią odmalować ducha tortury,
Gdyż żądzą runie w proch, a natchnieniem rwie się do
[góry,
Gdy męzką, dumną myśl, najszczytniejszych pełną obra-
[zów,
Ustek wiśniowych jad zamieni w legowisko płazów.
Chciałbym z dantejskich barw i palących jak grom wy-
[razów
Utworzyć pieśń... Jak Jozue rozwalając mury,
Pragnąłbym skruszyć gmach zniewieściałej naszej na-
[tury,
By w gruzach jego wznieść potężniejszy — z cyklopich
[głazów...

Recipe: dumy lwiej i turkawki młodej gruchania;
Wściekłych, tragicznych scen i pieszczot — do niewy-
[trzymania,
Żądzy i zimnej krwi, okrucieństwa, smutku, czułości,
Najpotworniejszych kłamstw i przezroczej, jak łza szcze-
[rości.
Wszystko to zmiąć i w ogniu azyatyckiej miłości
Zkrysztal w kobiecy kształt a wyjdzie niezawodnie Ma-
[nia,
Milutki typ! Nie wiele w nim znajdziesz idealności,
Mnóstwo ma wad — nie przeczę — a jednak wart jest
[kochania.

Dajcie mi furyi bicz i pochodnię hańby piekielną!
Wydarłbym z bratnich serc ten szał, gadzinę tę bez-
[czelną,

Harpię młodej krwi, hyenę wiecznie wściekłą z głodu —
Niech wyłaby, jak pies konający, w oczach narodu! —
Ileż to męzkich dusz nadziejami wielkich za młodu,
Ile ogromnych sił z namaszczeniem i wolą dzielną,
Nagle runęło w proch, trucizną jej tkniętych śmiertelną!
Gdzież pomniki ich prac!... Gdzie plon steranego zawo-
[du?!

Święty uczucia skarb, ideału boskie ołtarze,
Marzenia, pieśń i czyn — ach, wszystko ponieśliśmy
[w darze
Uroczej płci — królowej dłuta, pędzla, atramentu,
Smyczków, sztyletów, kul i kochanków biednych la-
[mentu.
Alboż i ja?... Co chwila z powieści mej odmętu,
Jak rybki z głębi wód, wynurzają się dziewcząt twarze...
Ha! niema co!... choć mi i wstyd, lecz powiem bez wy-
[krętu,
Że tyleż jestem wart co i wszyscy nasi pisarze.

ERGO SUM.

Duchu mój, senny, bezwładny!
Myśli w mogiły wryta!

Zbudźcie się! Dość już wspomnienia całunem
Otulać świat, urokiem ciszy martwej zdradny!
Niech lot wasz znowu obłoki powita!
Niech pierś rażona piorunem
Powiew żywota chwyta!

Nie! Sił już nie mam!... Mój Boże!
Śmierć że to?... Serce boli!...

Nie! nie!... Wszak niegdyś tak wielkim płomieniem
Huczało życie... Dziś jeszcze pod czaszką się sroży
Rozpaczy wichrem, wzgardą gniewną wyje,
Tęsknotą jęczy, zwątpieniem....
Cierpię — więc żyję!

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI.

(1834—1902)

MIŁOSIERDZIE.

— Byłam dziś — rzecze hrabina —
W podobnym wilgotnym lochu;
Pięć kroków w kwadrat zaledwie,
A ludzi jak gdyby prochu.
I — ciągnie dalej ta pani,
Biorąc do ręki wachlarzyk —
Z litości dałam tym biednym
Mój własny... „Złoty Ołtarzyk".

Z MĄDROŚCI ŻYCIA.

Nolite extinguere spiritum.
S. Paulus.

I.

Nie lgnij do ziemi twą istotą całą —
Ty, coś jej synem jest tylko w połowie,
A nawpół duchem, upowitym w ciało,
Lecz tam poczętym, gdzie wyżsi duchowie, —
By twa do prochu dusza nie przywarła
I, w znikomości grzesznych — nie umarła.

Bo ziemskie troski, uciechy, tęsknoty,
Jeżeli do nich przylgniesz całą duszą,
Polipowemi cię otoczą sploty,
I skrzydła twoje w swym uścisku skruszą,
I w serce wpiwszy ci się swoją hydrą,
To, co jest z ducha, zbrudzą ci i wydrą.

Lecz nie odrywaj się także od ziemi,
Słuchając głosu tęsknoty niezdrowej
I w błękit tocząc loty motylemi,
Byś nie rozpłynął się tam w sen jałowy,
I by się ziemia ciebie nie wyrzekła
I z pod stóp twoich z klątwą nie uciekła.

Bóg przeznaczeniom twym zakreślił koło
I równie gnuśnych i zuchwałych karci,
Więc wzlatuj w niebo — ale wzlatuj pszczołą,
Która pożytek zdobywa dla barci,
I każdy promyk uszczknięty w błękicie
Staraj się przenieść tu, i wszczepić w życie.

Ni się tem zrażaj, jeśliby twa praca
Doraźnych siejby plonów nie przyniosła,
Bo każdy taki wzlot ciebie wzbogaca...
Cóż stąd, jeżeli pchnięcie twego wiosła
Śladu nie znaczy na ruchomej fali?
— Wody spłynęły, lecz łódź poszła dalej!

Non omnis moriar.
Horatius.

II.

W chwili, gdy serce twoje bić przestanie
I duch uleci w twym ostatnim jęku,

Runie dla ciebie świat cały w otchłanie
Bez barw, bez światła, bez kształtu, bez dźwięku!
I to, co zowiesz rzeczywistem, minie,
Zgaśnie dla ciebie — i w nic się rozpłynie.

W rozgromie tego strasznego rozbicia,
Które ogarnie twą doczesność całą,
Zginie to wszystko, co wyniosłeś z życia; —
I to, co serce twoje przebolało,
I co rozkoszą słodką je poiło,
Będzie — jak gdyby przenigdy nie było.

To jedno tylko, co ty wniosłeś w życie —
Czy było chlebem, czy też jadem ono, —
Przetrwa ten rozgrom i w upiornym bycie
Rolę znów runią pokryje zieloną
I wyda siew ten — przez ciebie poczęty —
Błogosławiony owoc — lub przeklęty.

Bo każdy czyn twój, każda myśl jest ruchem,
Drgającym stale w czasie i w przestrzeni;
I będą ludzie żyli twoim duchem,
Chlebem lub jadem twoim wykarmieni,
I choć umarły, będziesz wśród nich żywy,
Jako duch czysty — lub upiór złośliwy.

Więc niechaj myśl ta, będzie zawsze strażą
Twego działania, że twój żywot polem,
Kędy się losy przyszłych zbiorów ważą,
I bacz byś gleby nie zasiał kąkolem
I nie dał chwastom plenić się na grzędzie,
Bo to, co wnosisz w życie — wiecznem będzie!

RODOĆ (MIKOŁAJ BIERNACKI).

(1836—1901)

NIE JESTEM PRZY APETYCIE.

Garson! proszę o nakrycie!
— Wiem, w osobnym pokoiku...
— Nie jestem przy apetycie...
— Może czystego barszczyku?
— Ej! nie, wolę bulion jaki,
A przed tem, jak zwykle — raki.

Ze śmietaną, tak, obficie.
— Słucham pana. A co potem?
— Nie jestem przy apetycie...
— Może kurczątko z kompotem?
— Wolę już pieczeń wołową
Z rożna, wiesz, na wpół surową,

Przerastałą należycie.
— Jest, proszę pana. Co jeszcze?
— Nie jestem przy apetycie...
— Może lin, węgorze, leszcze...
— Rybka ujdzie, byle tłusto,
Więc lin, z duszoną kapustą,

Po rybce — połowę kaczki.
— Rozumiem. A co na wety?
— Na wety... zwykłe przysmaczki.
— Może strasburskie pasztety?
— To, to, to... Ach! nędzne życie!
Nie jestem przy apetycie!

ZASADY.

Oddycha dla ogółu,
Jasno swój sztandar niesie:
Waryacya! Waryacya!
Ssie bliźnich bez skrupułu,
I coraz wyżej pnie się:
Racya! racya! racya!

Stracił i zlikwidował,
Został w jednej kapocie:
Winny! winny! winny!
Trzy razy bankrutował,
Ma składy, sklepy, krocie:
Czynny! czynny! czynny!

Uboga, głodna wreszcie,
Skradła bochenek chleba:
Złodziej! złodziej! złodziej!
Skradł milion — dał na kweście
Aż tysiąc; wielkie nieba!
Dobrodziej! dobrodziej!

Pisze, lecz piruetów
Przed mitrą nie wyrabia:
Zero! zero! zero!

Autorem trzech pamfletów
Na temat: wiwat hrabia!
Cycero! Cycero!

Pracuje i oszczędza,
Nie poi swe sąsiady:
Sknera! sknera! sknera!
W sercu i w głowie nędza,
Zaprasza na obiady:
Wiwat! et caetera...

I NIGDY W ŻYCIU NIE SKRADŁ ANI PÓŁ KORONY.

Od kolebki do trumny — posiadał miliony,
I nigdy w życiu nie skradł ani pół korony.
Naturalnie że ludziom patrzał w oczy śmiało,
I był swego narodu niebotyczną chwałą.
Dygnitarstw na swych barkach tłustych dźwigał cztery,
Miał władzę i tytuły, honor i ordery...
A rozumu, rzecz prosta, ile w morzu piasku.
Więc pławił się w powadze, zachwycie i blasku...
A no „miał od kolebki do trumny miliony,
I nigdy w życiu nie skradł ani pół korony".

NAPOTKAŁEM CZŁOWIEKA.

Napotkałem człowieka, co rzekł: „Jestem świnią".
Był to szlachcic z Podola, z Litwy czy z Wołynia,
Mniejsza o to; spokojny, posunięty z lata,
Pobłażliwy, bez wszelkich pretensyi do świata...

Zadziwił mnie, przywykły do innego tonu,
Porównałem go z gładkim rycerzem salonu,
Co pustkę w sercu mając, z komedyanckim giestem,
Woła: „Stójcie i patrzcie! wspaniały lew jestem!“
I... przed człowiekiem, który w samochwalstwa łapkę
Nie wpadł, przed ową zacną—świnią—zdjąłem czapkę.

IDYLLA MALEŃKA TAKA.

Idylla maleńka taka:
Wróbel połyka robaka,
Wróbla kot dusi niecnota,
Pies chętnie rozdziera kota,
Psa wilk z lubością pożera,
Wilka zadławia pantera,
Panterę lew rwie na ćwierci,
Lwa — człowiek; a sam, po śmierci
Staje się łupem robaka.
Idylla maleńka taka...

BOŻE, JAKA ONA GŁUPIA!

— Maniu!
Dzisiaj zrana, po śniadaniu
Siedziałaś, moje kochanie,
Cały czas przy panu Janie.
Jakiś tam urzędniczyna!
Dwa tysiące złotych rocznie!
Ciekawam co z żoną pocznie?
— Przecie mama nie zaprzeczy,
Że on jest bardziej do rzeczy,
Niż pan Dydak, co na świecie
Ideał widzi — w kotlecie!

— Każdy pan bywa łakomy,
Ma on na to, jest bogaty:
Posiada dobra, dwa domy,
Ze sto tysięcy intraty...
Gdybyś ty rozumną była,
To byś mu się przymiliła.
Dwie, trzy powłóczyste miny...
Byłby twoim w pół godziny.
— Ależ ja nie mam ochoty!
Przytem byłoby... nieskromnie
Wreszcie, jeśli chcesz z córeczką
Twoją... rozstać się, mateczko,
To, moja złota, kochana,
Ja... ja wolę pana Jana.

— Maniu! co się z tobą stało!
Tobie widzę romans w głowie!
Taką partyę doskonałą —
Puszczać! Co świat na to powie!
Dziecko, brak ci doświadczenia,
Po ślubie wszystko się zmienia.
Powoli... pana Dydaka
Pokochasz, no, daj buziaka...

— Mamo! on taki paskudny!
Z każdym się kłóci i droczy!
Taki nieużyty, brudny...
Tak śmiesznie wyłupia oczy...
— Maniu! tyś chyba szalona!
Pan Dydak! taka persona!
Pan Dydak! oczy wyłupia!
Boże! jaka ona głupia!

BÓG WIE, CO NAM TRZEBA.

Pewien żyd mi powiedział: Bóg wie, co nam trzeba,
I dobrze nasz interes reguluje z nieba.
Jest tu u nas, w powiecie, pewien szlachcic dumny,
Wielki wilk na pieniądze, chytry i rozumny.
Jak to pięknie Bóg zrobił, rozdając dukaty,
Że ten szlachcic od dziecka jest taki bogaty.
Bo, gdyby on był biedny, no, toby pewnikiem,
Nie jasnym panem został, ale — rozbójnikiem.

RECEPTA.

Recepta: Zmień na drobne twoje kapitały,
Losy, renty, obligi, kupony — kram cały.
Następnie wyleź na dach pierwszej lepszej szatry,
I rzuć to wszystko razem, precz na cztery wiatry.
Niech się toczy, niech płynie przez jakie chce bramy.
Potem zleź i dopiero mów: „jestem bez plamy".

FRASZKA.

Są zdania jednoznaczne na obydwie strony:
Jak: głodzony poeta — poeta głodzony.
Inne są szczególniejsze; jak się wam podoba:
Co choroba — to doktór. — Co doktór — choroba?

SATYRA.

Dzisiaj, walczyć satyrą — niebezpieczna praca,
Chcesz dać typ polityka, przypuśćmy pajaca,

Darmo, dzisiaj ich mamy tak świetną gromadę,
Że przy nich twe obrazy będą mdłe i blade.
A gdyby ci się nawet kiedy i udało,
Stworzyć postać komiczną, dotąd niebywałą,
Porwie twą myśl, i takiem błazeństwem zaświeci,
Że osłupiały wodzisz przerażonem okiem,
Widząc, jako z satyra, stałeś się — prorokiem.

ŻYCIE.

Życie jest tak marną chwilką,
Że pragnąć wiele nie radzę,
Mnie, gdyby fortuna tylko
Dała tytuły i władzę
I renty ze dwa miliony
Już byłbym zadowolony.

DR. SKUBACKI.

Suma — osiem tysięcy
Ani mniej, ani więcej.

Spada na mnie po dziadku
Mówią: bez adwokata
Odbierzesz za dwa lata.
Więc proszę w tym wypadku
Doktora Skubackiego.
Znany wszystkim i wszędzie.
Mówi: nic łatwiejszego,
Spadek w moment nasz będzie.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Szanowny adwokacie!
Co tam słychać na świecie?
Mój spadek? jak tam przecie?
— Pamiętam, w *referacie.*
Nakazy, protokóły,
Popycham, niech pan wierzy,
Pracujemy jak muły,
To długo nie poleży.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Łaskawy Mecenasie!
Spadek? aż sam się wstydzę!
Zapomniałeś jak widzę!
— Pamiętam, w krótkim czasie
Już będzie; *dublikaty,*
Cesye protestowane,
Akceptacye, illaty...
Wszystko przygotowane.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Mecenasie kochany!
Gonię grosza ostatkiem,
Co się dzieje ze spadkiem?
— Pamiętam, *przywołany;*
Teraz tylko *duplika,*
Inwekta, rotulacya,
Prezentatum, replika,
Taksa i *licytacya.*

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Mecenasie łaskawy!
Mój spadek, ledwo żyję!
Rosa, wiesz, oczy wyje!
— Pamiętam, pańskiej sprawy
Pilnuję; *już kontrakty*
W przelewie, jeszcze *kwity,*
Kaucya, pozew, ekstrakty,
I interes ubity.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Aj, szanowny doktorze!
Prędzej ja ujrzę cmentarz,
Niż spadek! nie pamiętasz!
— Pamiętam, ach mój Boże!
Już tylko bagatela:
Rekurs, ekstensa z treści,
Rubrum i *kuratela*
Forsuję co się zmieści.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Doktorze! wstyd, dla Boga!
Spadek taki maluczki!
Wasze prawo to kruczki!
— Przepraszam, prawna droga,
I prawne systemata,

Są procesem logiki.
Cóż to jest cztery lata?
Nic nie pomogą krzyki.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Mecenasie! ni słowa!
Pięć lat prawie baśnie,
Niech was piorun zatrzaśnie.
— Przepraszam — rzecz gotowa.
I oto są rachunki:
Prowizye, rekwizyta,
Konferencye, szacunki...
Proszę, niech pan przeczyta...

Suma osiem tysięcy,
Ani mniej ani więcej.

CIĘŻKIE CZASY.

— Witam, witam, panie Janie!
— Witam, witam, panie Procie!
— Jakże się miewacie?
— Jak to zwykle w chudym stanie.
— I ja nie opływam w złocie!
— Ciężko panie bracie!
— Dokąd tak rano? — Do biura,
— A i ja! — Przeklęta dziura!

— Dziś mi coś jakoś dolega,
Możebyśmy gdzie wstąpili,

Na gorzkie kropelki?
-- Jak tam uważasz kolega,
Mnie do biurka nic nie pili...
— Tak na dwa kufelki.

Ot tu czasem nie źle bywa.
— Ha, dobrze!... Chłopiec! dwa piwa!

— Bo to proszę pana Prota,
Żoneczka, pięcioro dzieci,
Że aż pęka głowa!

— I u mnie tak, nie dziwota,
Prawie się dziurami świeci,
Niechaj Bóg uchowa!

Jak to komu los doskwiera
To... chłopiec! dwie porcye sera.

— Bo to proszę pana Jana,
Ledwie człowiek się obudzi,
Zaraz daj talara!

— A i u mnie żonka kochana
Wiecznie o pieniądze nudzi.
Istna Boża kara!

A tu fundusik nie wielki...
Chłopiec! jeszcze dwa kufelki!

— Dzisiaj, proszę pana Prota
Dziewięć złotych, woła żona
Na same trzewiki.

— A moja znowu hołota
Wzięła na kieł, że uczona,
Daj na gramatyki!

A nie daj to zaraz płacze...
Chłopiec! hola! dwa sandacze.

Ja bo, proszę pana Jana
Moją zagadam słodziutko,
I w nogi do miasta.

— A ja, chociaż zapłakana,
Moją zawsze trzymam krótko,
Nie dam nic i basta.

Daję wam słowo honoru...
Chłopiec! ćwierć funta kawioru!

— Najgorsze to te procenta,
Z nimi najstraszniejsza bieda.
Tego to nie lubię.

— Prawda, oj, lichwa przeklęta,
I ja mam być dziś u żyda,
Znowu mnie oskubie!
Dość, że gdzie dotkniesz to rana,
Chłopiec! butelkę szampana!

— Tak, kochany panie Procie:
— Tak, kochany panie Janie!
— Zdrowie! w wasze dłonie!
— Niechże was obsypią krocie!

— Niech wam się milion dostanie!
　　— Nie mówcie nic żonie!
—- Szampanik, choć pocałować!
— Trzeba firmę zanotować!

BOŻE, JAK TY RZĄDZISZ ŚWIATEM!

Boże, jak ty rządzisz światem!
Nogami staje do góry!
Dzisiaj plebejuszów córy,
Chcą się równać z patrycyatem!
Dziś mieszczka tak prosto chodzi,
Jakby pokrewna magnacka;
Jak ja! jak ja! którą rodzi
Z Starogratów Odrapacka!

Naprzykład, ta, pani Iwo?
Chwalą że jest ugrzeczniona;
Jakiegoś tam radcy żona,
Naturalnie! wielkie dziwo!
I z czegóż ma być nadęta?
Mimo to, młodzież waryacka,
Wciąż jej prawi komplementa;
A nudzi się Odrapacka!

U ciotki na imieniny
Był muzykalny poranek,
Sedziałam w pośród mieszczanek,
Przez całe cztery godziny.
Krzywiłam ciągle ustami,
I odjechałam znienacka.
Musiałam, z urzędniczkami
Nie rozmawia Odrapacka!

Ewelina Zadarnoska
Idzie za mąż, w Bialskie strony,
Pan Bohdan, jej narzeczony,
Do rzeczy, jest tam i wioska;
Wszyscy jej zazdroszczą losów.
Bohdan... to jakoś z kozacka;
To dobre dla Zadarnosów!
Nie zazdrości Odrapacka!

Od pozaprzeszłej niedzieli,
Chyba już nie pójdę zgoła,
Nigdy w życiu do kościoła.
Wchodzę, idę wprost jak strzeli...
Ławka pełna w pierwszym rzędzie!
To obelga świętokradzka!
Wyszłam; nigdy nie usiędzie,
Gdzieś tam w środku Odrapacka!

Pan brat, widząc herb z koroną
Na tej wizytowej karcie,
Śmiał się; ja po takim żarcie,
Padłam jak długa zemdlona!
Śmiał się z herbu „Ośla Głowa"!
A to idea cudacka!
Podobnych zniewag nie chowa
Do kieszeni Odrapacka.

Najbardziej mi serce ściska
Obejście mojej Malwinki,
Robi tak potulne minki,
Jakby mieszczka bez nazwiska.
Co to będzie, kiedyś, potem,

Moje wnuki! Krew magnacka!
Gotowe zapomnieć o tem,
Że je rodzi Odrapacka!

RAZ JAKOŚ GDY SIĘ ZGADAŁO.

Raz jakoś gdy się zgadało,
Że honor dziś górę bierze,
Bo przeniewierstw mamy mało,
Ktoś rzekł: Bardzo temu wierzę.
Lecz chciałbym wiedzieć dokładnie,
Kiedy mowa o honorze,
Czy taki, który nie kradnie,
Kraść nie chce, czy kraść nie może?

EMILIO! MÓWIŁ MI CZULE.

Emilio! mówił mi czule,
Kocham cię! uwierz mi, proszę!
Ty nie wiesz, jakie ja bóle,
Przez ciebie, w mej piersi noszę!

Emilio! mówił namiętnie,
Czy ty mnie kochasz, aniele?
I patrzył w oczy tak smętnie,
Gadał tak wiele, tak wiele...

A gdy mnie ujął w ramiona,
A ja go, patrząc łaskawie,
Odpycham i rozemdlona,
Oszczędź mnie, szepcę, Gustawie!

Przecież nie mogłam inaczej!
On łamie ręce, przysięga,
I... i odchodzi w rozpaczy.
Uwierzył mi!... Niedołęga!

JAK BRAĆ LOSY ZA CZUPRYNĘ.

Wreszcie, dzięki wujaszkowi,
    Zbyłem się matury;
Teraz, trzeba człowiekowi
    Drapać się do góry.
Plan już mam, z nim to popłynę,
I chwycę los za czuprynę.

Naprzód ruszam na wszechnicę,
    Gdzie, jak sobie wnoszę,
Po łepkach, z nauk, zachwycę
    Wszystkiego potrosze.
Już ja to wiem, jak w godzinę
Chwytać rozum za czuprynę.

Kolegom nie będę sporny,
    Warunek konieczny;
Dla możnych, będę pokorny,
    Względem reszty — grzeczny.
Z własnem zdaniem nie wypłynę;
Schwycę przyjaźń za czuprynę.

I zostanę adwokatem,
    Albo profesorem;
Wszystko zresztą jedno, zatem
    Może i doktorem.

Gdzie najłatwiej, tam zawinę
Targać ludzkość za czupryne.

Za zasadę stawiam sobie,
Że świat jest ladaco;
Zatem i kroku nie zrobię
Gdy mi nie zapłacą.
Ach, już dziś połykam ślinę,
Jak schwycę grosz za czuprynę.

Mając tysiączków w kieszeni
Choć sto, dajmy na to;
Człowiek panie się ożeni,
Rzecz prosta — bogato.
Niby to z miłości ginę...
Potem teściów za czuprynę...

Będę miał milion nareszcie;
Dukaty! rubelki!
I pójdą szepty po mieście,
Co za człowiek wielki!
Dopieroż nastroję minę!
Będęż darł świat za czuprynę!

Najgorsza śmierć; bo zapewnie
Spotka mnie niestety!
Przynajmniej że rykną rzewnie,
Ach, po mnie gazety!
Napiszą, że w niebo płynę,
Że świat drze za mną czuprynę...

Lecz po co obrazy smutne,
Radość — życia celem;

Pójdę lepiej w bilard utnę,
Potem, z przyjacielem,
Jaśniej moją myśl rozwinę,
Jak brać losy za czuprynę.

ŚWIATEK NASZ JEST BARDZO MIŁY.

Światek nasz jest bardzo miły:
Bartek pracuje nad siły,
Za to Wit robi niewiele;
Piotr obdziera i w niedziele,
Jaś pełza przez życia drogę,
Zdziś podstawia bliźnim nogę,
Franio kłamie jak najęty,
Prot całuje możnych w pięty,
Stach rozbija, Leoś kradnie,
I zabawnie jest i ładnie.

TEN TEMU RZEKŁ: JESTEŚ CIELĘ.

Ten temu rzekł: jesteś cielę!
A ten mu: barania głowa!
Ruszyli się przyjaciele,
Gwałtu sprawa honorowa!
Pojedynek... Naturalnie.
Poszli? Gdzie? Jak? o to mniejsza.
Mniejsza również, kto tam palnie
Kogo w łeb i razy ile:
To jednak rzecz szczególniejsza,

Że obie strony, niestety,
Nie pomyślały na chwilę,
Czy też owe epitety,
Nie są na miejscu, broń Boże?
Ja nie wiem — ale być może.

CZY SĄSIAD CZASEM CZYTA?

— Czy sąsiad czasem czyta?
— Nic nie czytam i kwita.
Powiedz mi sąsiad poco?
Na dyabła mi czytanie!
    Tylko łeb panie
Te piśmidła klekocą.
Ja zresztą, z książką w łapie,
W kilka minut już chrapię.

— Tak, nie przeczę, zapewne,
I ja też nieraz ziewnę,
Trudna bo na to rada;
Tylko że dziś te łyki,
    Te, te, dzienniki,
Krzyczą: „Szlachta upada!
„Co gdzie szlachcic, to głupi!
„Żadnej książki nie kupi!“

— Niech sobie plotą baśnie;
Nie kupię! aha, właśnie!
A mnie na co bibuły?
Niechaj się morałami
    Częstują sami.
Dla szlachty, artykuły:

To baran, okowita,
Sterta pszenicy, żyta...

— No tak, tak, ani słówka,
Ho, ho, z sąsiada główka!
Jednak czasem niekiedy,
Zajrzeć do pisma należy,
  Niech sąsiad wierzy.
Możebyśmy od biedy,
Które tam z nich we Lwowie,
Trzymali, po połowie?

— Co też bo sąsiad plecie!
Toć i sam mógłbym przecie!
Wszak sąsiad nie posądzi
Żebym ja nie miał za co.
  Lecz pytam na co?
Człowiek dobrze się rządzi,
Co mi książka pomoże?
Zasieje, czy zaorze?

— Nie, lecz tak, dla zabawy,
Człowiek czasem ciekawy
Poznać ludzkie koleje.
Opisują odkrycia,
  Wypadki z życia,
Nasze ojczyste dzieje...
Siądziesz, czytasz w gazecie,
Jakbyś jeździł po świecie,

— Co mnie to tam obchodzi,
Jak w Ameryce rodzi;

U mnie na polu ładnie.
A czy słońce z zachodu,
    Czy też ze wschodu
Idzie, czy gdzie upadnie,
Gwiazdy gasną, czy bledną,
To mi to wszystko jedno.

— Tak, zgoda na to, zgoda,
Ale dziś czytać moda.
Mówią, lektura płaci,
Już i na pańskich dworach.
    A przy wyborach,
Walor ma też u braci.
Słyszałem to od żony,
Świat kroczy jak szalony.

— A niechże sobie kroczy!
Czytaj sąsiad, trać oczy,
Marnuj zdrowie i siły;
Ale co do wyboru,
    Słowo honoru,
Bajki! jak mi Bóg miły!
Mój brat nie czyta całkiem,
A przecież jest marszałkiem!

— No, proszę, nie wiedziałem,
Winszuję sercem całem;
To miłe wiadomości!
O! znałem go przed laty,
    Bardzo bogaty!
Zaraz powiem Jejmości,
Zaraz, za powitaniem.
Niech się schowa z czytaniem.

— Tak, szanowny sąsiedzie,
Na książce się nie jedzie,
Ale na dobrej szkapie.
Te z rozumem konszachty,
    To nie rzecz szlachty,
Mnie na figiel nie złapie!
No, chodźmy na kolacyę!
— Tak sąsiedzie, masz racyę.

ADAM ASNYK.

(1838—1897)

W LOŻY.

Kiedy się na was z daleka patrzę
Z okna mojego poddasza,
Myślę, że jestem w loży w teatrze,
Lecz sztuka nudzi mnie wasza.

Muszę się dziwić, że scena świata
Takich ma nędznych aktorów,
Że gdzieś przepadły dawne dramata
Tęczowych pełne kolorów.

Widzę, że artyzm w życiu upada,
Że zamiast sztuki klasycznej
Ciągnie się farsa nędzna i blada,
Godna gawiedzi ulicznej.

Pierwszych kochanków nie ma na scenie,
Ci są dziś anachronizmem —
Młodość straciła swoje płomienie
I żyje modnym cynizmem.

I niema nawet tragicznej maski,
Niema wyniosłych zbrodniarzy —
Więc trzeba tylko sypać oklaski
Najzręczniejszemu z kuglarzy.

Choć kto przywdzieje klasyczne stroje,
Daremny zachód i praca,
Nic nie pomogą togi lub zbroje,
Znać przebranego pajaca.

Brutus w kawiarni gniewem się pieni
I ostrzy pióra na panów...
Zjadłszy w pałacu kawał pieczeni,
Staje się jednym z baranów.

A utyceński posępny Kato,
Dawnej tradycyi naprzekór,
Chce się ożenić bardzo bogato
I poszukuje synekur.

Koryolan za to broni zażarcie
Konserwatywnych swych zasad,
A pokonany żebrze o wsparcie
W przedsionkach obcych ambasad.

Gracchus na chwilę nigdy nie spocznie,
W górę zadarty ma nosek,
Wspięty na palcach stawia corocznie
Przerażający swój wniosek:

„By wszyscy mieli wybierać prawo,
Nawet najniżsi z narodu —
Czy chcą na drugich pracować krwawo,
Czy wolą umierać z głodu“.

Inny, przybrawszy Focyona pozę,
Odkrywa duszy swej wnętrze,
Kreśląc przewrotnych dążności grozę,
Co burzą, wszystko najświętsze;

Nad rodem ludzkim szaty rozdziera,
Biadając: że cnota ginie!
I śpieszy, gdzie go czeka hetera,
Albo na karty w kasynie.

Tamten przywdziewa zbroję Gotfryda,
Prawym krzyżowcem się mieniąc,
Na niewiernego wyruszył Żyda,
Rosnąc w znaczenie i pieniądz.

I wyzyskuje siew nienawiści
Jako kondotyer-demagog,
Gdyby zaś większe widział korzyści,
Na żołd-by przeszedł synagog.

A bohaterscy Machabeusze,
Gdy ich przypadkiem sąd schwytał...
Bez zalęknienia oddadzą duszę
Za swoje bóstwo — kapitał!

Socyalistyczny trybun Pankracy,
Co w karczmie stały ma pobyt,
Naucza rzesze, że im mniej pracy,
Tem większy będzie dobrobyt.

Sokrates nową etykę stawia
Dla tych, co słuchać go warci,
Wielbi w niej wzniosłą wolność bezprawia,
Jeżeli nikt jej nie skarci.

Wstręt w nim powszednia moralność budzi
I tłum do pracy przykuty...
Więc się wciąż truje w gronie nadludzi
Absyntem, w braku cykuty.

Tyrteusz, wielki, natchniony epik,
Co wiódł Spartanów do boju,
Założył modnych towarów sklepik
W najświeższym guście i kroju.

Kilku Hamletów duma przy flaszce
I nie wie, gdzie się przyłączyć...
Gdyby mózg mieli w swej pustej czaszce,
Tragicznie mogliby skończyć!

Tymczasem świeczka po świeczce gaśnie,
Brzydko rzępoli muzyka,
Publiczność chrapie — a kto nie zaśnie,
Odwraca oczy i syka.

GŁOS WOŁAJĄCEGO NA PUSCZY.

Czasami doleci z burzą
Do uszu bezmyśnej tłuszczy,
Do wodzów, co kłamstwu służą,
Głos wołający na puszczy.

Grozą przenika ich serca...
Nie jeden porzuca łoże,
Drży jak schwytany morderca,
Lecz przestróg pojąć nie może.

Niezrozumiałym jest dźwiękiem
Głos wołający na puszczy;
Śpią dalej na łożu miękkiem...
I nikt pokuty nie czyni.

WŁODZIMERZ PLĄSKOWSKI.

(1835—1899)

DLA IDEI.

Dziś o idei
Wiersz się uklei,
Bo ona w naszem życiu,
Niby niteczka przewodnia,
Snuje się co noc i co dnia,
Na jawie i w ukryciu...
Bo owa piękna idea,
Co długich myśli jest skutkiem,
Bywa nam szczęściem i... smutkiem,
Krzepi nas jako nadzieja,
Więc o idei
Wiersz się uklei...
Czegóż nie zrobi to człowiek,
Kiedy poświęca się dla niej!
Gotów odegnać sen z powiek
I, jak niewolnik swej pani,
Wśród szyderstw i wśród złorzeczeń,
Z głową schyloną ku ziemi,
Służyć siłami całemi,
Jeśli ideą jest... *pieczeń.*

. . . .

Dla niej to karki gną hardzi,
Dla niej, dla pani wszechwładnej,
Człek bywa gładki, układny,
Dla niej opinią pogardzi...
Dla niej się schyli tak nizko,
Że nosem w błoto uderzy,
Odda jej w czci, — w co wierzy,
Swój honor i swe nazwisko,
Ostre nie zrażą go słówka,
Bo jak z legendy bohater,
W wulkanu rzuci się krater,
Jeśli ideą — *złotówka.*

. . . .

Ach! dla idei... idei...
Będą się czołgać po ziemi,
Dla niej rymami ciężkiemi,
Prozaik wiersze uklei.
Dla niej... ach! jakaż tandeta!
Stary się młodym uczyni,
Zgłupieje dla tej władczyni,
Jeśli ideą... *kobieta.*

. . . .

Pięknie na świecie się dzieje,
Choć życie idzie po grudzie,
Pełni poświęceń są ludzie,
Każdy ma jakąś ideę,
Dla której biedak... szaleje.

DROBNIEJEMY!

Był to kiedyś czas jak złoto,
(Ale uciekł łotr!)

Żona zwała się Dorotą,
Mąż zaś Jan lub Piotr.
Nie pieszczoną była mowa,
Ni lekką jak puch,
Chłop był silny, baba zdrowa,
Każdy dzieciak zuch.
Choć dwunastu było synów
I ze siedem cór,
Nie chował się na papinków
Hożej dziatwy chór.
I nie zwano ich jak psiaków:
Dziunio, — Niunio, — Pieś,
Nie strojono jak cudaków,
Jak Niemczyków — gdzieś.
To też chłop wyrastał krzepki,
I jędrny jak rydz,
A dziewczęta jak przylepki
Z świeżą krasą lic.
Ale był to czas jak złoto,
(Czemuż uciekł łotr?)
Jejmość zwała się Dorotą,
Jegomość był Piotr.

. . . .

Dziś się żeni Piesio z Niunią,
Z Kocią jakiś Aś!
Filuś z Kizią, Lucio z Dziunią...
Gdzież są ludzie zaś?
Gdy przybędzie im papinek,
Trudno iście znać,
Jak się ma ten Koci synek
Pieszczotliwiej zwać?

Jak go jeszcze bardziej zdrobnić
(I tak drobny smyk!)
I do lalki upodobnić,
Jak wymaga szyk...
Zły to zwyczaj, wszyscy wiemy
I znamy tę rzecz,
Że szkaradnie drobniejemy
I że idziem wstecz.

. . . .

Horoskopy nienadobne
Można z tego snuć,
Bo też te postacie drobne
Mogą humor psuć.
Zamiast ludzi są laleczki,
Krzaczki, gdzie był las.
Jeszcze potrwa to troszeczki,
Zbraknie całkiem nas.

NASI — NIE NASI.

Nasz to jest niby taki, co należy
Do ciebie, do mnie, do niego i nas,
A zatem taki, co pragnie najszczerzej,
By dla nas zawsze mógł być dobry czas.
Nasz to jest wreszcie taki, co nie bieży
Z mową rodzinną kryć się gdzieś za las.

A *nie nasz* znowu — jest ten, co się wstydzi
W języku własnym głośno słowo rzec,
Taki, co własnej przeszłości nie widzi
I nie pamięta, jaki grzał go piec,
Taki nareszcie, co z własnego szydzi,
Jakby ze szwąbem wybrał się na wiec,

Ta definicya jest zda się tak jasną,
Że można po niej powiedzieć: już dość!
Ty chwalisz swoją chałupinę ciasną,
A swoją wielbi zagraniczny gość,
Boć każdy lubi swą rodzinę własną
I ową ziemię, na której mógł wzrość.

Lecz pijąc gorzki obserwacyi trunek,
Który wciąż tryska, jak obfity zdrój,
Widzim, że nie jest dokładny rachunek
I dobry podział na *obcy* i *i swój*,
Bowiem pośredni jest jeszcze gatunek,
O którym niżej, przyjacielu mój.

Taki, co prądem uniesień owiany,
Zwłaszcza gdy w prądzie jakieś zyski tkwią,
Liczy się chętnie pomiędzy Słowiany,
Mówiąc, że ci mu zawsze braćmi są,
Że zawsze dla nich gotów jest bez zmiany
Poświęcić chętnie całą istność swą.

A gdy interes minie — to z szelestem
Rubli, co świeżo wpadły mu do łap,
Machnie na swojskie pogardliwym gestem
I jak z Berlina spanoszony drab
Chciałby rzec światu: „Ja Germańczyk jestem“
I po niemiecku szwargocze jak szwab.

Prąd go ominie — gdy groszy nazbiera,
I gdy ich złoży przyzwoity pęk,
Mowa rodzinna uszy mu rozdziera,
Staje się w ustach twardą jako sęk,
W rodzinie dźwięczy zaś język Schillera,

Co ma mieć czuły i przyjemny dźwięk.
Mój mości panie! co, jak Janus stary
W baśniach, oblicze dubeltowe masz,
I czynisz z siebie dziwaczne poczwary,
I tak i owak nastrajając twarz,
Pozbądź się takiej dubeltowej miary
I raz zdecyduj, czyś nie nasz, czy nasz?

Bo tak myszkować między dwa obozy,
To niekoniecznie przyzwoity żart,
Raz przecie wybierz upały lub mrozy,
Czarna czy biała — anioł albo czart?
Bo być czemś takiem, pół wydry — pół kozy,
To los, sam przyznaj, w gruncie licha wart.

MARYA KONOPNICKA.

(1846—1910)

PAN BALCER W BRAZYLII.

(Fragment).

Het, precz odeszła ta dobra ochota,
Która nas z pierwa po morzu tem wiodła.
Bo w człeku blizko od brzucha do ducha,
Taka w nim nizkość jest i żądza podła.
Raz wraz to kłótnia, to bitka wybucha;
Jakowaś wściekłość każdego z nas bodła.
A choć sam sobie tej biedy napytał,
Jak żbik na innych parskał, jak dzik zgrzytał.

. . . .

Oj głupi naród, i ja też z nim, głupi,
Żeśmy swych w świecie szukali wolności!
Oj, źle ten przeda, kiepsko ten kupi,
Kto się na cudze zamieniać jął włości!
Tam, chłopie, pruchniej, gdzie Bóg cię wesłupi,
Iżby w swym domu miał belkę z twej kości,
A wiedz, że choć się z Adamem powadził,
Każdemu dawa raj, gdzie go obsadził!

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

(Ur. 1850)

JEDNOŚĆ I ZERO.

— Kto jest twórcą miliona? Ja!... niech sześciokrotnie
Zbliżę się do jedności, co stoi samotnie
I z wielkiem ducha strapieniem
Duma nad swem poniżeniem!"
— „Masz słuszność!... rzecze Jedność z właściwą skro-
[mnością —
Ja jestem zawsze jednością
I godzę się z przeznaczeniem —
Ty zaś, pyszałku dumny z wydętem obliczem,
Milionem jesteś przy mnie, lecz bezemnie — niczem!"

DWIE DUMY.

Uczony, znany światu a chluba narodu,
Przedstawiony był księżnej dumnej z swego rodu;
Proszony, usiadł przy niej — i wnet księżna pani
Wsiadła na heraldykę i jeździła na niej.
Krewieństwa, pokrewieństwa lała pełnym dzbanem:
Pradziad był wojewodą, prapradziad hetmanem,

Tego zrodziła tamta, tamtego ten spłodził,
Jakby nie każdy człowiek płodził się i rodził.
Wtem pyta uczonego o ród... Ten oniemiał — —
O dziadku mało wiedział, herbu wcale nie miał;
O nazwisku głośnego tak dziś profesora,
Cosik wiedziano wczora, nic a nic zawczora — —
Uśmiechnął się... Dostrzegła uśmiech księżna pani!
Był z tych, co trochę kole, trochę dumę rani:
— „Aa!... rzekła z lekkim marsem niechęci na czole —
Zasług ojców, ich znamion: sasów, krzyżów, podków
Profesor nie uznaje?“ — „Co zaś!... tylko wolę
Zostać przodkiem potomków, niż potomkiem przodków.

DOBÓR NIENATURALNY.

Wierzcie, nie wierzcie sobie, wasza rzecz — jak chcecie!
Ale dziwne bywają wypadki na świecie,
Anomalia w naturze dotąd niepojęta:
Mąż — baran, żona — sroka, a dzieci — cielęta.

LAUREAT.

Konkurs skończony. Muza liść laurowy
Zrywa i czoło wybrańca oplata — —
Że, zanim wypadł wyrok konkursowy,
Już pito w knajpie zdrowie laureata.

„BÓG JEST DZIŚ ECHEM PRZEBRZMIAŁEM“.

Tak brzmiał prelekcyi zagłówek.
Prelegent oklask otrzymał:
— „To głowa!“ — krzyczał półgłówek,

INNE CZASY.

Dawniej kowal przewinił, wieszano ślusarza.
Dzisiaj inaczej się zdarza,
Całkiem się już innego trzymają sposobu,
Idąc sprawiedliwości gościńcem ubitym:
Gdy nie wiedzą, czy wina przy tamtym czy przy tym:
Wieszają obu.

WIKTOR GOMULICKI.

(Ur. 1850)

ODPOCZYWA.

Lat pięćdziesiąt ważył pieprz i kawę —
I rwąc wszystkie serdeczne ogniwa,
Depcząc miłość, młodość i zabawę,
Zebrał milion. Dzisiaj odpoczywa.

Jego pałac — sen zmieniony w jawę,
Jego ogród — Arkadya prawdziwa,
Kwiaty przed nim gną główki jaskrawe,
Chór słowików pieśń dla niego zrywa.

Oto siedzi w swym wózku, jak w niszy;
Kurcz ma w nogach, na oczach ślepotę;
Stół odepchnął z jedzeniem — i dyszy...
Cóż więc zyskał za serca martwotę,
Za dni w mroku wleczone i ciszy? —
Do wygodnej trumny wieko złote!

SĄSIEDZTWO.

Ludowa mądrość od wieków powiada,
Że nic gorszego od złego sąsiada.
Lecz się myśl ludzka od wieków też biedzi:
Czy na tym świecie są dobrzy sąsiedzi?

GRZECH CZY NIESZCZĘŚCIE?

Jeśli największy grzech mego żywota:
Brak wiary — czemu ksiądz na mnie się miota?
Czyż, skarb posiadłszy, co szczęśliwych stwarza
Bogacz wyklinać powinien nędzarza?

ODRODZENIE.

Powiem, że odrodzenia doba już nie długa,
Gdy z ludzkiej mowy znikną słowa: „pani“ i „sługa“.

OSTATECZNOŚCI SCHODZĄ SIĘ.

Masz pięćdziesiąt pokoi, i w razie ochoty
Codzień w innym rozkładasz sypialne namioty;
Lecz i nędzarz, co dachu nie ma ponad głową,
Codziennie również zmienia stacyę noclegową.

SZLACHECTWO.

Skrzywdziłeś brata, że poszedł z torbami,
A o swym bracie gadasz z przechwałkami.
Żródłem szlachectwa twojego, mój panie,
Jestże „szlachetność“. Czy też „szlachtowanie“?

FELIKS SZOBER.

(1851 — ...)

PIOSNKA KRYTYKA WARSZAWSKIEGO.

Jestem sobie krytyk
W nadętej osobie...
Niejednemu przytyk
Moją stalką zrobię;
Jabym nawet śmiało
Mógł kierować światem,
Bo choć umiem mało —
Ale znam się na tem.

Kiedy Buckl'e, Tain'y
Zjawią się na planie,
Wnet o nich oceny
Piszę na kolanie;
Tnę stalki szelestem
To co — wiedzy kwiatem...
Filozof nie jestem —
Ale znam się na tem.

Ktoś wyrabia piwo...
Gdy o tem zasłyszę,
Siadam za stół żywo
I recenzyę piszę;

Gdy ją mózg mój płodzi,
Nie wiem — choć wal batem —
Co w skład piwa wchodzi —
Ale znam się na tem.

Aktor gra w teatrze
Z artystyczną weną,
Ja nań ledwie patrzę,
Myśląc nad oceną;
Gdy ją myśl wyszuka...
Jam aktora katem,
Choć nie wiem, co sztuka —
Ale znam się na tem.

Przejrzę nowin plikę
O miast reparacyi —
Wnet piszę krytykę
O kanalizacyi; —
Choć sąd dając śmiały,
Czy zimą, czy latem,
Nie wiem... co kanały —
Ale znam się na tem.

Gdy śpiewak zakwili
Lud serca przenika —
Także w każdej chwili
Ma we mnie krytyka:
Nic mu w tonów ruchu
Nie przebaczę zatem,
Bo choć nie mam słuchu —
Ale znam się na tem.

Szewc w pracy zapale
Uszył nowe buty,
Ja krytykę walę —
I szewc już pokłuty;
Względów nie rozumiem,
Szewc nie jest mi bratem,
Butów szyć nie umiem —
Ale znam się na tem.

A gdy traf się zdarzy,
Lub żółć mnie przejęła —
I słynnych malarzy
Krytykuję dzieła;
Tnę obraz uznany,
Choć — jak świat jest światem —
Nie pobielę ściany —
Ale znam się na tem.

Gdy każdemu przytyk
Umiem zrobić walny,
Jestem wielki krytyk
I uniwersalny!
Dmąc srogiem obliczem,
Za chwał goniąc listkiem,
Choć nie wiem o niczem —
Lecz znam się na wszystkiem!

SYNEK MAMY.

W pewnem mieście, które znamy,
Jako wielki głupstwa rynek,
Przyszedł na świat synek mamy,
Na świat przyszedł mamy synek.

A jak wszystkie tego świata
Ukochane mam gagatki,
Ssał pierś matki przez trzy lata,
Przez trzy lata ssał pierś matki.

I odbierał wciąż buziaki,
Obwijany mimo sprzeczki,
W poduszeczki, powijaki,
W powijaki, poduszeczki.

Potem, gdy już podrósł nieco,
Płakał, choć nie dostał w skórę,
Bo naturę miał kobiecą,
Bo kobiecą miał naturę.

Od czapeczki do pończoszek
Był prześlicznie ubierany
Wychuchany ten pieszczoszek,
Ten pieszczoszek wychuchany.

I czy mama na ulicę,
Czy w drzwi tylko weszła ramę,
Trzymał mamę za spódnicę,
Za spódnicę trzymał mamę.

Nieraz chciał go kształcić papa,
Lecz źle działał sposób wszelki,
Bo był synek wielki gapa,
Bo był synek gapa wielki.

Wreszcie mama w ostrej mowie
Kłuła papę taką szpilką:
„Ty mu tylko psujesz zdrowie,
Ty mu zdrowie psujesz tylko".

A gdy w klasach syn brał basy,
Bo był nieuk i uparty,
Rzekła: „Nie kończ czwartej klasy",
Rzekła: „Nie kończ klasy czwartej".

Tak chowany jedynaczek
Lat młodzieńczych zdrowo dożył
I szykowny włożył fraczek
I szykowny fraczek włożył.

Lecz, gdy chęć miał do tańczenia,
Lub przemówić chciał do damy,
Żądał mamy pozwolenia
Pozwolenia żądał mamy.

„Kochaj mnie — raz pewna dama
Rzekła; — odparł jej powoli:
„Jeśli mi pozwoli mama.
„Jeśli mama mi pozwoli".

Dziś on żonę ma i dzieci,
Lecz nim całus da żonusi,
Do mamusi z prośbą leci,
Z prośbą leci do mamusi.

I łzy roni wciąż bez tamy,
Drży przed każdym swym uczynkiem,
Bo jest zawsze synkiem mamy,
Bo jest zawsze mamy synkiem.

Nikt na świecie nie ma zdania,
Kto za wzorem tego gapy
Nie zna papy wychowania,
Wychowania nie zna papy.

MARYAN GAWALEWICZ.

(1852—1911)

KOCHLIWY.

Ściska jej rękę w pierwszym kadrylu,
Przy walcu szepce coś z cicha,
Patrzy z pod oka na nią w profilu,
Patrzy i patrzy, i wzdycha...
Jutro z wizytą przyjdzie na pewno
I będzie prawił nieśmiało,
Że marzeń jego była królewną,
Ideał ubrany w ciało!...

Z bukietu uszczknie kwiat pokryjomu,
Z wachlarzem czule się pieści,
Na straży staje przy drzwiach jej domu
Z miną od siedmiu boleści,
I tęskne rzuca w okno spojrzenia,
I wzrokiem ściga ją z dala,
I czoło chmurzy, w oczach się zmienia —
Istny sobowtór Tantala!...

Pragnąłby uschnąć tam na jej progu,
Jak kwiat zdeptany w ciemności,
Lecz nie usycha, bo, dzięki Bogu,

Choć zakochany — nie pości,
A choć przysięga, że się zabije,
W rozpaczy życie swe skróci —
Z dnia na dzień jakoś żyje i żyje,
Odchodzi!... poszedł!... powróci...

Wróci i znowu, ach! wzdychać zacznie
I kochać będzie na nowo,
Je z apetytem i sypia smacznie,
Na twarzy wygląda zdrowo,
A jednak, jednak wiecznie narzeka,
Że jest ofiarą miłości,
Że go z tęsknoty marna śmierć czeka,
Że wychudł... skóra i kości!
Że go tyrania serca zabija
I zabić jakoś nie może,
Je samą gorycz, same łzy spija
I na tem... tyje nieboże.

O, nie żałujcie, chociażby szlochał
I skargi rozsiewał wszędzie,
On się już dziesięć razy tak kochał
I jeszcze sto razy będzie!

CZESŁAW JANKOWSKI.

(Ur. 1857)

PAN PREZES.

Mój syn — od roku nim się szczycę —
Kiedy się ze szkół raz wygrzebie,
Każę przywołać go do siebie
I tak mu rzekę: „Wiedzy świecę
We łbie zapalić ci zdołano,
Patrz, by nie zgasła! Osłów wielu
Idzie na oślep w świat bez celu,
Słomy dopadłszy, krzycząc: — siano!
Ty bądź mądrzejszym w każdym względzie
I drogą celu krocz świadomą
I wiedz, że słoma zawsze... słomą,
Choć czczym pozorem wabić będzie.
A przedewszystkiem, chłopcze, mało
Nieproduktywne ceń sukcesa,
Rodu naszego stań się chwałą:
W tobie materyał na — prezesa!
Prezes! czy pojmie on dokładnie
Doniosłą słodycz tego słowa?
Czy na grunt dobry ziarno padnie?
Czasami wichrzy młoda głowa...

Nie — już go widzę — już go bierzem
W ramiona do łez rozczuleni:
Frak z aksamitnym wdział kołnierzem,
Fular wyziera mu z kieszeni!...
Czasem do biura naumyślnie
Wpadnę — tak, niby w ważnej sprawie...
On wyjdzie do mnie, dłoń uściśnie —
Pogląda ten i ów ciekawie —
A on mnie — ślinkę do ust niesie! —
Pod ramię bierze poufale,
Ja zaś, gdy kroczym tak przez salę,
Mówię mu głośno: „Mój prezesie“...

Panien znam dobrze obyczaje,
Gdy żal zawodów kryją w sobie:
Im która w grubszej z nich żałobie,
Tem się pocieszyć chętniej daje.
Gdy miną wielkich wrażeń burze,
Gdy romantyczny ferwor mija,
Takie już prawo jest w naturze,
Że w sam raz „prezes“ się nawija.
I tak ponętnie gniazdko ściele,
Że panna woła we łzach cała:
„Teraz dopiero, mój aniele,
Istotne szczęście jam poznała!“
Tego to trzeba było właśnie.
Czyjeż ja szczęście mam na względzie?
Oto, gdy ród nasz nie wygaśnie,
Synem prezesa wnuk mój będzie!

Wieczorki będzie dawał — w środy.
Do mnie też przyśle zaproszenie...
Jakie przyjęcie! wino... lody!

Pieniądz sam płynie mu w kieszenie.
Nie bagatela — stanowisko!
Gdzie spojrzeć — sami dygnitarze,
Do kart stoliki w *fiumoarze,*
Ale mi do nich — ani blizko!
Gruba gra — nie dziw — z ich budżetu
Pieniądz odpływa, gdyby woda;
Czasem gdy zbraknie im kompletu,
On sam się zbliży... kartę poda...
Wszak go pamiętam — takim smykiem!
Ha! choćby zgrać się miał z kretesem,
Grać będę z radcą, z naczelnikiem,
Jakbym to sam ja był — prezesem!

A gdy po długiej lat kolei,
Bóg go powoła do swej chwały,
Ludzkość przez usta kaznodziei
Zasług wyliczy poczet cały.
Koledzy jego, towarzysze
Składkowy wieniec mu uplotą,
Każda gazeta coś napisze,
Choć nikt nie będzie prosił o to.
Żadnych wymyślań, żadnych „ale",
Jak to przykładów dosyć mamy,
Żadnej przesady w czczej pochwale,
Ani szarpania czci bez plamy.
Objęty kilku słów zakresem
Żywot — lecz żywot do zazdrości!
Przekażą o nim potomności
Dwa słowa tylko: Był — prezesem!

JÓZEF WAŚNIEWSKI.

(1858—1896)

FRASZKA.

Dla Chin ja nie mam podziwu wyrazów,
Tak mądre państwo, że godne stalówki;
Nikt tam nie błądzi, bo miast drogowskazów,
Wiecie, co stoi na drogach? — łapówki.

SOLIDARNOŚĆ.

— Więc ma być słup zielony?
— Nie, niech będzie biały.
— Panowie, tu dać trzeba kolor więcej trwały,
Więc głoszę za kolorem czarnym...
— Co? toć czarny
Kolor karawaniarzy i smutny i marny.
— Więc niech będzie niebieski...
— Nadto klerykalny.
— Czerwony...
— Czyś oszalał!...
— Żółty!...
— E... fatalny;

Lepiej słup pomalować bronzowym, a będzie
Taki słup w pomnikowych słupów istniał rzędzie.
— A gdyby pstry, toć więcej zwróci on uwagi?
— Pstry? pan nie wiesz, pstry kolor jest symbolem
Kompromitacya dla nas... [blagi,
— A więc popielaty.
— Co znowu, nie dość jasny.
— Pomalować w kwiaty...
— No, to już niechaj wszystkie ma kolory tęczy...
I gdy się zgromadzenie nad tą kwestyą męczy,
Suszy głowy, komisye, podkomisye zbiera,
Ktoś na boku stojący tem usta otwiera:
— Gdzież ten słup jest, panowie? Chodźmy tam
[do niego:
Może się coś na miejscu znajdzie stosownego.
Gdzież słup?...
— Nie wiem.
— Pan nie wiesz?
— Ach, panowie mili,
Myśmy go przecież jeszcze i nie postawili,
Drzewo w lesie...
— Więc po cóż kłócimy się szpetnie?
Wybierzem jakiś kolor, gdy drwal sosnę zetnie.
Tymczasem, znając waszą, panowie, ofiarność,
Proponuję butelkę...
— Wiwat solidarność!...

BIEDA I FILANTROPIA.

Skarżyła się raz bieda gdzieś przed filantropią,
Że ją losy do tego stopnia ciągle kopią,
Iż spać nie może,

Bo i dachu wciąż nie ma i mroźno na dworze.
— Moja droga — odrzecze na to zapytana —
Mnie stokroć gorzej,
Straszna bezsenność morzy,
Ja także spaćbym chciała, a nie sypiam wcale:
Noc w noc tańczę, wydając dobroczynne bale...

JÓZEF WEYSSENHOFF.

(Ur. 1860)

PENITENTKA.

Jużeś z pozbycia grzechów rada,
Sumienie lekkie znów jak piórko —
Ale natrętny ksiądz wciąż bada:
„Przypomnij jeszcze, moja córko."
    „Czyli straż duszy twej nie drzemie,
    Bo koło wyznań twych, zdaleka
    Krąży mi ciągle jedno imię,
    Przechodzi blady cień człowieka".
„Czyś mu, zwyczajem bałamutek,
W uśmiechu serca nie przyrzekła?
Czy go nie trapi wielki smutek,
Albo nie targa boleść wściekła"?
    „Może był człowiek młody, dzielny
    I do pożytku szedł i chwały?
    Czyli mu duszy nieśmiertelnej
    Twe obietnice nie złamały?"
„Może, do życia tracąc siłę
Z ciągłego bólu i zawodu
Ta dusza patrzy na mogiłę,
Na upragnioną wieczność chłodu?"

„Twe oczy, córko, — Boże dary, —
Twojej piękności młody promień,
Dane ci dla chowania wiary,
A nie dla zdradnych oszołomień“.
„Niech cię te oczy, córko, strzegą
Obietnic, które nic nie znaczą!
Bo grzechu bardziej śmiertelnego
Niema, jak igrać z serc rozpaczą“.
„Dzieło to złe jest i zabójcze.
A on cię może kocha szczerze?....“
Odrzekłaś: „Mój duchowny ojcze,
On mówi tak, lecz ja nie wierzę“...
Ranek ciepły, pachną kwiaty,
Wznoszą srebrny zgiełk ptaszęta —
Od kościelnej wracasz kraty
Wystrojona, lekka, święta.
— „Witam białą mą lilię!
Idziesz pewno na śniadanie?“
— „Dzisiaj nie jem, ani piję
Mam odprawić rozmyślanie,
„Potem zmówić za pokutę
Siedem „Zdrowaś“, jedno „Wierzę“,
Potem kupić chcę szpicrutę
I ogłosić coś w Kuryerze.
„Potem...“ Pytać się daremnie
Czy żałuje? czy pamięta?
Gdy odchodzi tak odemnie
Wystrojona, lekka, święta —
Patrzę za nią i uśmiechy
Mam gorzkiemi łzami strute — —
Za jej grzechy, moje grzechy
Trzeba czynić mi pokutę.

MIRIAM (Zenon Przesmycki).

(Ur. 1862)

BALADA O ETYKIETACH KU CZCI WIĘKSZOŚCI KRYTYKÓW DZISIEJSZYCH.

Dalej za flety, za kastaniety,
Niech się raduje bazgracz wszelki!
Wiedzę, uczciwość w toń rzucić Lety,
Toć te nie warte hetki-pętelki,
Precz mikroskopy, szkiełka, lunety,
Dawny krytyka precz trud ascety,
Co się zamykał z książką do celki,
By do dna zgłębić ducha poety!
Nam źdźbła wystarczą, po co nam belki —
Niech żyją etykiety!

Dawniej, gdy świat był głupi niestety,
Winiarz je tylko brał na butelki.
I lury przez nie miały bukiety,
I tłum je głupi pił do kropelki,
A winiarz, stosy zgarniał monety!
Oto nauka! Biblii wersety
Nie dadzą rady tak szczytnej, wielkiej.

Kto do krytycznej chce dobiedz mety,
Niech ma w kieszonce od kamizelki...
Niech żyją etykiety!
Chociaż nic nie wiesz, mów! Wierzą krety,
Gdy etykiety masz zbawicielki.
Dostajesz tytuł znawcy, estety,
Nędzarzowi-druhowi dajesz karmelki,
Genialnych wrogów grzmocisz przez grzbiety,
Zresztą — kpisz sobie i z Muzagety,
Z muz i z krytyki twej karmicielki.
Czujesz, żeś wielki, jako Pinety,
Póki przerzucasz zręcznie tafelki.
Niech żyją etykiety!

Przesłanie.

O książę *Świata!* Te psie figielki,
Pasztety z *izmów,* „schyłki", ankiety,
Eunuchowskie ckliwe falsety
Włóż w karykatur dnia akwarelki!
Niech żyją etykiety!

GNIEW ŚWIĘTY.

Oto nadchodzi chwila pogardy dla ludzi.
Ze snu na gnojowisku nic ich nie obudzi,
Ani poświst wężowy satyrycznych biczy,
Ani zew tytaniczny, ani jęk goryczy.
Niechajże podła ślina podłe czoła zbrudzi!

Próchno spasłych bogaczy, parye głodni, chudzi,
Wszystko zmysłom się kłania, widmami nie łudzi —
A wiew ducha, ostatni snadź, a tajemniczy
Oto nadchodzi.

I bydlęcy ten żywot nieprędzej ich znudzi,
Aż — gdy już skra ostatnia w sercach się wystudzi —
Strażnik, rwąc pjane orgie, złowieszczo zakrzyczy,
Iż kosarze traw zgniłych, chaos żółtej dziczy,
Od wschodu, kędy słońce wstaje krwawiej, rudziej,
Oto nadchodzi!

DEKADENTOM ISTOTNYM.

Duszą mię wasze niebiosa,
Co tuż przypadły do ziemi,
Żywotów „zdrowych" czcza possa
I wasza próżna, o Niemi,
Wrzawa stugłosa-bezgłosa!

Gdy spadnie odrodzeń rosa,
Was nie tknie łzami wonnemi;
W was nic, co kwiatu czy kłosa
Duszą...

Lecz kosa ojca Kronosa
Nad kłosy gwizdnie próżnemi,
A nasz się posiew rozplemi.
Niwa zaszumi stugłosa
Młódź — Ludzkość z nową wyciosa
Duszą!

IGNACY BALIŃSKI.

(Ur. 1862)

NIECH ŻYJE LENISTWO!

O! jak wygodną jest leżąca poza,
O! jak wygodną jest poza leżąca.
Nie potrzebuje człek skakać, jak koza,
O byle kogo próżno nie potrąca
I wie, że, leżąc tak horyzontalnie,
Przynajmniej głupstwa żadnego nie palnie.
I marzyć może, ułożywszy członki,
W miłym spokoju bez znojów i trudów,
Jak z drzewa czynu puszczają się pąki,
Jak praca wkoło dokonywa cudów,
Jak oto miasta mnożą się i sioła,
Dobrobyt wzrasta i przemysł i szkoła.

A sam marzący w krwawym pocie czoła
Porasta w pierze, godności, zaszczyty,
Swą działalnością obudza dokoła
Ogólny podziw i słuszne zachwyty,
Już zdrój wdzięczności spływa nań gorący...
O! jakże słodko marzyć tak — leżący!

Leż tak, kochanku, wy wszyscy, panowie,
Leżcie tak dalej, a choć z pod was łóżko

Gdzieś się podziało i już biednej głowie
Dość trudno nawet spotkać się z poduszką,
Wartoż dbać o to? W tak błogiej postawie
Wytrzyma próżniak i na twardej ławie.
Lecz niech wam czasem także się zamarzy,
Że jednak rządzi rzeczywistość w świecie
I mści się, skoro kto ją lekceważy,
I że z łatwością znaleźć się możecie,
Gdy się leżąca poza zbyt przedłuży,
Na nagiej ziemi, lub gorzej — w kałuży!

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

(1862—1913)

VA BANQUE!

Va banque!
Hej! wszystko na kartę...
Kto bije? Proszę do szrank!
Zagramy — o groby otwarte!
Zagramy — o przeszłe wydarte!
Va banque! Panowie
Va banque!

Va banque!
Hej, było nie było...
Za stawkę — pokłon i dank!
Zagramy — nad wielką mogiłą
O wszystko, co w sercu tem tkwiło
Va banque! Panowie
Va banque!

Va banque!
Hej, wszystko na kartę...
Gotowe... Proszę do szrank!
Na kartę! czoła wytarte!
Na kartę... kto wspomnieć śmie Spartę?
Przeszłość i przyszłość
Va banque!

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

(Ur. 1862)

DO MUZY.

— Każda matka w noc bezsenną
Nad kołyską niemowlęcia
Wiesza obok mokrych pieluch
Wawrzynowy liść wielkości.

Lecz gdy malca z szkół wyrzucą
A zabraknie protektorów,
Wtedy niebu składa dzięki,
Gdy mu znajdzie jakie dyurnum...

Na cóż tedy, luba Muzo,
Jak te matki lekkomyślne
Snuć dla naszych dwóch amorków
Tak zwodnicze sny przyszłości?!

Nie wieszajmy im u ramion
Ikarowych skrzydeł, Muzo,
Bowiem człowiek nie jest ptakiem,
Chociaż buja po obłokach.

Ach, nie uczmy ich w kołysce
Łbów urywać srogim hydrom,
Bowiem hydry są stugłowe
I przeważnie żyją w odach.

I nie sączmy im do serca
Kropel taniej filantropii;
Takie środki aptekarskie
Rozum dawno już potępił!

Śród ciemności tego świata
Niech je wiedzie demon rubla,
Ha, ten demon szeleszczący
Klucz im wręczy do przyszłości!

Czas uderzyć w strunę inną,
Piękna córo olimpijska,
Wiele boskich cnót jest w tobie,
Lecz dziś cnota nie jest w kursie!

Ludzkość w strunę metaliczną
Uderzyła chciwą dłonią
I ton każdy ma być rublem,
Każdy akord imperyałem!

Na dnie morza cudzej krzywdy
Całe beczki złota świecą,
Byle wstrzymać tchnienie duszy,
Byle nurkiem w dół popłynąć!

A gdy lekki morał nie da
Spłynąć na dno upodlenia,
Bierzcie w rękę głaz rozsądku,
Kamień życia filozofii!“

FRANCISZEK NOWICKI.

(Ur. 1864)

PIEŚŃ CZASU.

Gdzie nasza wolność, gdzie nasza sława?
Pierś przygnieciona ....
Przyszłość bez jutra — a przeszłość krwawa,
Myśl zamroczona obłudą kapłanów,
To nasza wolność, to nasza sława!

Gdzie są pomniki, gdzie nasze dzieje?
Ni żyć, ni umrzeć! ni duchem ni ciałem!
I trup nadziei zdawna czernieje,
Zmierzch posągów nad piedestałem.
To są pomniki, to nasze dzieje!

Gdzie nasze morza? powiedźcie oczy
O blizko! toniem pośród tego morza
Fala za falą piersi nam tłoczy;
Gdzież źródło tego mokrego przestworza?
Tym źródłem oczy — to nasze oczy!

Gdzie nasi wodze? gdzie bohaterzy?
O, oni dzisiaj wrogom za laur złoty,
Sprzedają gniazda starych rubieży,
A na lud krzyczą: drzemajcie, heloty!
To wodze kresów! to bohaterzy!

IDŹCIE DO MONACO!

Szumno i gwarno w szulerni Zachodu,
Tam rzeki złota płyną w banku morze,
A lica graczy naprzemiany orze
Chciwa nadzieja i rozpacz zawodu.

Jeden wśród graczy, daleki syn Wschodu,
Stosami rzuca złoto w banku łoże...
Polak!.. szeptają gracze, sprzedał może
Niemcom swę ziemię i lud!?... szlachcic z rodu?...

Gra; — wciąż przegrywa — resztę mienia waży...
Przegrał!.. zbladł—skoczył—szał wre pod skronią—

I nagle... uczuł policzek na twarzy...

Spojrzał — wśród dymu szulerni i brudu,
Przed nim, z wzniesioną od policzka dłonią,
Stał duch Prusakom sprzedanego ludu...

KAZIMIERZ TETMAJER.

(Ur. 1865)

COGITO, ERGO SUM.

Jak się zwierciadło w życiu przydać może,
Na moim własnym pokażę wam wzorze.
Były raz chrzciny. Przyszło mnóstwo państwa,
Szlachty, mieszczaństwa,
Panie pełne godności, panowie powagi,
Młodzież miała pozycye, dziewice posagi,
Wszyscy pięknie mieszkali, przyzwoicie żyli,
W lecie jeździli do wód, w zimie się bawili,
Panie się z hrabinami stykały na kweście,
Panom się odkłaniali prezesi na mieście,
Słowem, była kompania wielce znamienita,
O mało, że nie elita.
Czułem się tam tak zmiażdżony,
Przygnieciony, znicestwiony,
Taki nikły, taki cieńki,
Taki drobny, tak maleńki,
W nos tym broszom, tym krawatom,
Taki pyłek, taki atom:
Że pod litościwemi tych panów oczyma
I pań pełnym ironii pobłażliwej gestem,
Pewnym był, że naprawdę wcale mnie już nięma...

Wtem patrzę: lustro... Z szczęścia zadrżała mi dusza—
O boskie, o wybawcze słowa Kartezyusza!
Myślę, to nic! lecz widzę się w lustrze, więc jestem!

MOJA KOCHANKA.

Nie „z mojej sfery“, Bogu dzięki,
Była kochanka ma,
Nie miała wypieszczonej ręki,
Kocham pisała przez ha.
Zupełnie była bez maniery,
Mówiła często „cas“,
A jednak wszystkie „z mojej sfery“
Oddałbym za nią wraz.

PRZESTROGA.

Studyuj, mi care, pilnie naukę, z której
Nieśmiertelną cześć niegdyś Hipokrat zyskał,
Poznaj ciała ludzkiego wszelkie tajniki,
Abyś,

Jeślić kiedy postawi los wprost kobiety,
Której urok ci duszę młodą opęta:
Poznał zawczasu, czyli ma ona w łonie
Serce?

Z FACKIEWICZÓW KUFKOWA.

Z Fackiewiczów Kufkowa — bywa, czyta, gada,
ma żurki, daje rauty, na loteryach siada,
flirtuje, sądzi książki, do teatru chodzi,
gdzie może nie pomoże, gdzie potrafi szkodzi,

z Fackiewiczów Kufkowa. Ma swe przyjaciółki,
gryzie, a gdy nie chwyci, obślinia do spółki.
Bezwiedny snob, z natury ordynus duchowy,
w salonie ma swój portret za szkłem pastelowy,
mówią, że „sympatyczna“, ma mieć „wdzięk wrodzony“,
najbardziej lubi mścić się i leźć na ogony
hrabin na wielkich balach. Ubiera się z gustem,
zajmuje swoich bliźnich przykazaniem szóstem,
że *już,* lub że *nie jeszcze* — bez żadnej obawy,
że to jest najciekawsza kwestya dla Warszawy;
bywa, czyta, ma żurki, na loteryach siada,
flirtuje, daje rauty, sądzi książki, gada,
z Fackiewiczów Kufkowa.
Raz była w Egipcie
z mężem i bratem męża. Kiedy tam na krypcie
króla stojąc, warszawską zaczęła rozmowę:
Sfinks skrzywił się i zwolna zwrócił na bok głowę,
on, co nieporuszony patrzał na Ramzesa,
na wojny, rzezie, orgie i wszelkie ekscesa,
na plagi Mojżeszowe i w opresyi Żydy,
Faraonów fantazye, obchody Izydy,
nawet kiedy sam pod nim stanął Bonaparte,
nie uznał, aby było to uwagi warte:
skrzywił się i odwrócił zwolna na bok głowę,
kiedy zaczęła pod nim zwyczajną rozmowę
z Fackiewiczów Kufkowa.

OR-OT (ARTUR OPPMAN).

(Ur. 1867)

KRÓL SIĘ BAWI.

Słoneczną aleją idzie król Staś,
    A przy nim cudna dama:
— „O pani! twych oczu płomień zgaś,
Bo spłonę ja od nich, twój sługa, twój paź!
    „Bella!“ zostaniesz sama!“
Uśmiecha się buzia najmilszej z dam,
    Znudzona odrobinę:
— „O królu! ten pożar wzbudzasz ty sam!
Odbicie swych oczu w źrenicach swych mam!
    Ty płoniesz... Ja, ach! ginę!“
Za królem dyskretnie wytworny dwór,
    Opodal zwolna kroczy;
Ktoś paszkwil zanucił... ktoś podał wtór...
Ktoś szepnął z kresowców: „Ot, świeży znów dur!“
    Panie spuszczają oczy...
Rozpustny szambelan, dworak i bard,
    Jak motyl wśród dam fruwa.
O grzeszkach, miłostkach paple, jak z kart,
A w przerwach paryski kalembur i żart,
    Rozśmiesza i zatruwa.

W ustronnej altance bawi się król,
Z jedwabnych słówek siatka:
— „O piękna! cudnego chcesz kwiatka z pól,
Co skarby da tobie, ukoi łzy, ból...
Król pojedzie szukać kwiatka!"
A ona: — „I czemuż daleko tam,
Zdobywać kwiatek przebojem?
Ten kwiatek masz tutaj! O, znam go, znam!
Zań życie, o! królu! w ofierze ci dam!
Ten kwiatek — w sercu twojem!"
Jak barwne kolibry, dworaków ćma,
Snuje się między drzewy...
-— „Och, kocham!" — Na długo? — „A ty?" — „A ja?"
Dopóki trwa rozkosz, dopóki czar trwa!..."
— „Okrutna!" — „Cóż to? gniewy?"
„Co? uścisk? przy wszystkich?" — „Choć całus!" — „Grzech!"
Niech książę się poprawi!"
I w parku srebrzysty zadzwonił śmiech,
Wśród faunów kamiennych w tysiącu brzmi ech...
Pst!.. Cicho: Król się bawi!..

ANTONI ORŁOWSKI.

(Ur. 1868)

W KRAJU LAPUTÓW.

Co to za kraj jest z takiem dziwnem mianem?
Nowoodkryty, czy też staroświecki?
Jak się doń dostać? Czy aeroplanem?
Czy kraj to chiński, japoński, turecki?
Imię to jednak powinno być znanem,
Pisał o kraju tym niegdyś Śniadecki,
Kiedy, od pracy wolny naukowej,
Satyrą walił twarde ziomków głowy.

Od czasów wielce sławnego Jędrzeja,
Niezbyt się wiele zmieniło w tym kraju,
Przeciwnie, coraz bardziej się rozkleja
Społecznej spójni kit i obyczaju;
Laputa w życiu wciąż się wykoleja,
Jak ślepiec błędny gdzieś na dróg rozstaju;
W wiecznem pragnieniu szczęścia paru łutów,
„Jakoś to będzie!“ — jest hasłem Laputów.

Chociaż go dawniej zgubiło to hasło,
Laputa znaleźć innego niezdolny,
Chce, by mu samo robiło się masło,

Wstrętny mu zawsze szary trud mozolny;
Choć chmury wokoło i słońce zagasło,
On chce bez trudu żyć, jako ptak polny.
Po mannę z nieba wyciągając tacę,
W „jakoś to będzie“ wierzy, a nie w pracę.

Niegdyś Lapuci mieli własne państwo,
Pełne pól, lasów i kwietnych rozłogów,
Dzielnym orężem zwalczali pogaństwo,
Lecz nie widzieli duszy własnej wrogów,
Nareszcie poszli do obcych w poddaństwo,
Zwaleni mocą społecznych nałogów,
Które, choć oni mieli je za chlubę,
Klęski im niosły, aż przyniosły zgubę.

Odtąd Lapuci na dziejowej fali
Nie znaczą, na trzy pokrajani części;
Jedni — tych nazwać można „Czarno - biali“,
Muszą się bronić przeciw pruskiej pięści —
„Czarno-żółtymi“ drugich byśmy zwali,
I tym podobno najlepiej się szczęści;
Trzeci, od obu tamtych niedaleko,
„Szarzy“ — bo żyją ponad Szarą rzeką.
Zdawałoby się, że winni być spójni
Wszyscy, bo jest to z pnia jednego drzewo,
Gdzietam! Ci cieżcy, tamci znów zbyt bujni,
Ci idą w prawo, a tamci na lewo;
Nie są nad sobą, jak żórawie, czujni
Ni w czas pogody, ani przed ulewą,
Każdy oddzielnie przy swym żuje żłobie
I każdy sobie tylko rzepkę skrobie.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

(1869—1907)

WESELE (skrót).

Czepiec. Cóż tam panie w polityce?
Dziennikarz. A to czytaj kto ciekawy.
Czepiec. A my tu cytomy gazety...
Dziennikarz. A po co — ?
Czepiec. Sami się do świata garniemy
Z takich jak my był Głowacki.
A ja myślę, że panowie
duza już by mogli mieć,
ino oni nie chcom chcieć.

Radczyni. Wyście sobie, a my sobie,
Każden sobie rzepkę skrobie.

Zosia. Raz do koła, raz do koła...

Klimcia. Coraz więcej patrza ludzi,
Żeniłabym, wydawała!

Pan młody. Pocałujże jeszcze, jeszcze,
Niechże tobą się napieszczę.
Moja Jaguś, toś ty moja?

Panna młoda. Bo cóż to cię tak znów dumi?
Cięgiem ino godos o tem.

Pan młody. A ty z twojem sercem złotem
nie zgadniesz dziewczyno - żono,
jak mi serce wali młotem,
jak cię widzę z tą koroną,
z tą koroną świecidełek,
w tym rozmaitym gorsecie,
jak lalkę dobyty z pudełek
w Sukiennicach, w gabilotce:
zapaseczka, gors, spódnica,
warkocze we wstążek splotce,
że to moje, że to własne,
że aż światłem gorą lica!

Panna młoda. Buciki mam trochę ciasne.

. . . .

Zosia. Chciałabym kochać ale bardzo,
ale tak bardzo, bardzo mocno...

Pan młody. Sady, strzechy, łąki, gaje,
orki, żniwa, słoty, maje...
Żyłem dotąd w takiej cieśni,
pośród murów szarej pleśni:
wszystko było szare, stare,
a tu naraz wszystko młode,
znalazłem żywą urodę,
więc wdecham to życie młode;
teraz patrzę się i patrzę,
w ten lud krasy, kolorowy,
taki rzeźki, taki zdrowy, —
choćby szorstki, choć surowy.
Wszystko dawne coraz bladsze,

ja to czuję, ja to słyszę,
kiedyś wszystko to napiszę;
teraz tak w powietrzu wiszę,
w tej urodzie, w tem weselu;
lecę, jak mnie konie niosą,
od miesiąca chodzę boso,
odrazu się czuję zdrowo,
chadzam boso, z gołą głową;
pod spód więcej nic nie wdziewam,
odrazu się lepiej miewam.

Rachel. Miodu, rozkoszy, słodyczy
miłość, roznamiętnienia
i szczęścia.
Poeta. A miłość wolna?...
Rachel. Ah, marzyłam o tem zawsze!

Pan młody. Jak się żenić, to się żenić!
Tak chce pić się przy źródełku,
ożenić się w tem pragnieniu,
to tak jakby w uniesieniu...
Radczyni. Topi się kto bierze żonę.
Pan młody. Niech się stopi, niech się spali,
byle ładnie grajcy grali,
byle grali na wesele.
Jak ich tak muzyka miele,
jak na żarnach hula, dzwończy,
niech se puka, stuka, huka,
pląsa, bije, przybasuje,
piska skrzypiec struną cienką,
tak podskocznie, tak mileńko;
niech się miele, jak młyn wodny

w noc miesięczną, w czas pogodny;
szumiejąca, niech się snuje,
a niech w dźwiękach się nie kończy,
choćby usnąć w tańcowaniu,
przy mieleniu, przy hukaniu,
w zapomnieniu, w kołysaniu;
światy czarów, — czar za światem! —
jestem wtedy wszystkim bratem
i wszystko jest moim swatem
w tem weselu, w tej radości:
Bóg mi gości pozazdrości.
Granie miłe, spanie miłe,
życie było zbyt zawiłe,
miło snami uciec z życia,
sen, muzyka, granie, bajka —
zakupiłbym sobie grajka, —
spać, bo życie zbyt zawiłe,
trzaby mieć ogromną siłę,
siłę jakąś tytaniczną,
żeby być czemś na tej wadze,
gdzie się wszystko niańczy w bladze, —
to już tak po uszy sięga,
los: potęga, czas, mitręga.
Spać, muzyka, granie, bajka,
zakupiłbym sobie grajka,
to mi się do duszy nada.

Radczyni. Ach, pan gada, gada, gada!

Poeta. Taki mi się snuje dramat,
jak polonez gdzieś z kazamat...
Duch się w każdym poniewiera...
takby gdzieś tak gnało, gnało,

do ogromnych wielkich rzeczy
a tu pospolitość skrzeczy,
a tu pospolitość tłoczy,
włazi w usta, uszy, oczy;
duch się w każdym poniewiera...

Czepiec. Jakby kiedy, co, do czego,
myśmy, — wi się, nie od tego...
Ino się napatrzcie pięści,
niech no ino kaj gdzie świsnę...
Tego zyda,
było jak go huknę w pysk...
Żyd. Panie Czepiec, wyście winni,
wyście zapłacić powinni...
Czepiec. Ty psieścierwo,
Ksiądz. Panie Czepiec, macie dług
Czepiec. Nic nie dam.
Ksiądz. Wódka...
Czepiec. Takim w gorącości,
żebym psiakrew, potłukł kości
nawet rodzonemu bratu.
. . . .
. . . .
Stańczyk. Polska, swoi, własne łzy,
własne trwogi, zbrodnie, sny,
własne brudy, podłość, kłam,
znam, zanadto dobrze znam...
. . . .
. . . .
Gospodarz. Orły, kosy, szable, godła,
pany, chłopy, chłopy pany,
cały świat zaczarowany
wszystko była maska podła.

Snuło się to jak gorączka
takie figury w koronie,
pałace, zamczyska, wille,
sześciu paradników w tyle,
hulaj dusza bez kontusza...
Wy... wy się nudzicie w mieście,
to się wam do wsi zachciało,
tam wam mało, tu wam mało,
a ot co z nas pozostało:
lalki, szopka, podłe maski,
farbowany fałsz, obrazki;
niegdyś gdzieś tam... tęgie dusze
pół waryackie animusze:
Kogoś zbawiać, kogoś siekać;
dzisiaj niema na co czekać.
Nastrój? macie ot nastroje:
w pysk wam mówię litość moję.

. . . .
. . . .

Nos. Do szklanki i do kochanki...
coś mnie tak pod sercem rwie,
może z tego będzie co; —
czynnik główny: miecz...
Piję, piję, bo ja muszę,
bo jak piję to mnie kłóje;
wtedy w piersi serce czuje,
tak po polsku coś miarkuję, —
Chopin gdyby jeszcze żył,
toby pił...

. . . .
. . . .

Jasiek. Kajsim zobył złoty róg

U rozstajnych może dróg,
ostał mi się ino sznur.
Chochoł. Miałeś chamie złoty róg,
miałeś chamie czapkę z piór;
ostał ci się jeno sznur.

. . . .

. . . .

Panna młoda. Śniło mi się, że siedzę w karecie
i pytam się a gdzie mnie, biesy, wieziecie?
a oni mówią: „do Polski".
A kaz tyz ta Polska, a kaz ta?
Pon wiedzą?
Poeta. Po całym świecie
możesz szukać Polski, panno młoda
i nigdzie jej nie znajdziecie.
Panna młoda. To może i szukać szkoda.
Poeta. A jest jedna mała klatka, —
o niech tak Jagusia przymknie
rękę pod pierś.
Panna młoda. To zakładka
gorseta, zeszyta trochę przyciaśnie.
Poeta. A tam puka?
Panna młoda. I cóż za tako nauka?
Serce — ! —?
Poeta. A to Polska właśnie.

EDWARD SŁOŃSKI.

(Ur. 1872)

OJCZYZNA.

(Fragment)

Przehandlowaliśmy na nic
swój znak i graniczne kopce —
i dziś dla nas niema granic
i swojem jest wszystko obce.

Takeś wyrosła nam ślicznie
i takeś się rozszerzyła
bezzbrojnie i bezgranicznie,
serdeczna ojczyzno miła!

Rozsiadłaś się w obcych grodach,
ty polna, rolna i wiejska,
we krwi kąpana i w miodach,
rycerska i kołodziejska.

Bo dzisiaj ty przebogata,
bezmiedzna i bezgraniczna,
ojczyzno z połowy świata
wszak jesteś wielojęzyczna.

Nie zrozumieją — i dobrze!
Co komu do naszych głodów,
co komu, że kiedyś chrobrze
szliśmy na czele narodów.

ADOLF NOWACZYŃSKI.

(Ur. 1876)

SCHULCHAN ARUCH.

Mogliście bić się Nowym Testamentem,
Mogliście szydzić sobie z Lachów Ducha,
Przebijać szpicem centr Zagłoby brzucha,
Mogliście Chrysta ogłosić pacyentem...
Ale się wszystko kończy z tym momentem,
Gdy tknąć śmieliście się Schulchan - Arucha.

OJCZYZNA.

Czy aktualny rym zna na: Ojczyzna,
Pytałem pana, co z okoliczności
Uroczystości rymuje najprościej.
Dawniej był smutny, piękny, krótki: blizna
Dziś każdy przyzna jest wiele: stęchlizna
Pierwsza; jej równych mam też w obfitości.

WIESZCZE.

Kiedy zabrakło wieszczów na pogrzeby,
Jubileusze i na wielkie święta,
Polskość odsapła nieco wypoczęta.

Wraz powstał projekt takowy, ażeby
Chować po jednym ot w razie potrzeby
Żywcem lecz z pompą nasze wieszczenięta.

LEKARSTWO.

Kiedy wreszcie raz przejrzeli
Że ojczyzna zagrożona
Jak święta Teresa kona,
Nad ratunkiem kłótnię wszczęli
I na gwałt tłomaczyć jęli...
Shelleya i Chattertona.

CO Z TEGO?

Wczoraj połknęli Comte'a i Spencera
Bella, Tyndala, Balfoura, Littrego
Buckla, Tylora, Baina i Langego.
Dziś połykają Riehla, Renouviera,
Jamesa, Bergsona, Forela, Meyera,
Wundta, Fouillego... Co z tego? Co z tego?

POCHWAŁA FRANCUSKA.

Chwalił maître Barrès na bankiecie
Szarmancki naród tych Sarmatów,
Że choć pod sceptrem jest trzech batów,
Poezyi sceptr wciąż nosi w świecie...
Wdzięczniśmy za tę chwalb poecie...
I znów zapłacim koszt wiwatów.

JAN LEMAŃSKI *).

(Ur. 1865)

NAD STAN.

I.

Ach, wierz mi, wierz mi pan,
Że u nas dziś artysta
I że poezya czysta
To dla nas — rzecz nad stan.
To dla nas — rzecz nad stan!

Niech Anglik ćwiczy smak
I ducha na Schelley'u,
My, panie dobrodzieju,
Umiemy żyć i tak,
Umiemy żyć i tak.

Ja takbym uczył młódź:
Odziedzicz wieś, paniczek,
Kup żyt, pros i pszeniczek,
I siej je, zwóź i młóć!
I siej je, zwóź i młóć!

---

*) Autor niniejszej antologii, najwybitniejszy dziś satyryk w Polsce, nie pomieścił w swym wyborze własnych utworów. Pozwalamy sobie lukę tę uzupełnić przez nasz własny wybór kilku jego satyr. *(przypisek redakcyi).*

A potem zboże miel.
Za mąkę grosz da piekarz,
Fortuny się doczekasz:
To najpiękniejszy cel,
To najpiękniejszy cel!

Duch — minus, ciało — plus.
Kto w plusach się zasklepi,
Użyje życia lepiej,
Niżeli dziatwa Muz,
Niżeli dziatwa Muz!

W Parnasie trzymać prym,
A w życiu — jadać czerstwo:
Cóż to za bohaterstwo?
Do rymu składać rym?
Do rymu składać rym?

Poezya czysta — błąd,
Bo chociaż byłbyś gracki
Poeta, jak Słowacki,
Uciekać musisz stąd!
Uciekać musisz stąd,

Z trosk umrzeć, z suchot płuc
I leżeć na Montmartrze.
Niż pisać, wierz: najtwardsze
Kamienie lepiej tłuc,
Kamienie lepiej tłuc!

II.

Poetów zwińmy cech!
Dość, panie, już tych marud.
Na nasz ubogi naród,

Poetów nad stan — trzech,
Nad stan poetów — trzech!

Stodoła, bank, bal, tan
I dam emablowanie:
To, mój kochany panie,
Jest miara na nasz stan,
Jest miara na nasz stan!

Niech gra kolorem Włoch
I niech tam Azyata
Upaniszady splata
I Jeremiaszów szloch,
I Jeremiaszów szloch!

O wierz mi, wierz mi pan
Poezya Wed, ksiąg Manu
To wraz — dla Hindo-stanu;
Lecz dla nas — to nad stan,
Lecz dla nas — to nad stan.

Niech sobie tam Duch-Król,
Jak złota rzeka, płynie,
W Zborowskim, w Balladynie:
Ja wolę złoto z pól!
Ja wolę złoto z pól!

Niech Parnas legnie w gruz!
Budujmy śpichrz do chleba.
Król-duchów nam nie trzeba,
Duch ciągnie ku nam z Prus,
Duch ciągnie ku nam z Prus!

Z poezyą zginie Lach.
Powiadam bez ogródki,
Że lepszy fach każdziutki —
Każdziutki inny fach,
Każdziutki inny fach!

Mrzeć, umrzeć z suchot płuc,
I w grób ledz na Montmartrze...
Nie!... Wierz mi pan — najtwardsze
Kamienie lepiej tłuc,
Kamienie lepiej tłuc!

III.

Po śmierci — głupia cześć!
Gdy skończył dni męczeństwa,
Elita społeczeństwa
Poetę śpieszy grześć,
Poetę śpieszy grześć!

Narodu chluba chlub:
Nobile, stanu radce,
Z przepychem, z pompą, rzadce
Poety grzebią trup,
Poety grzebią trup!

Odpina naród trzos,
I radców komunikiem
Rajcuje nad pomnikiem:
Dać marmur mu? czy cios?
Dać murmur mu? czy cios?

Słup — marmur, statua — miedź,
Od dziś stanowi miasto,
I fetę raz lat na sto,

I mszę za duszę mieć,
I mszę za duszę mieć!

Niech placu zdobi kąt
Z marmuru wieszcz i z miedzi,
Niech tu się raz osiedzi,
I ani krokiem stąd,
I ani krokiem stąd!

Siedź tu i ducha twórz,
Zaklęty w miedź i w kamień,
W patrona nam się zamień,
Ozdabiaj gród, i już,
Ozdabiaj gród, i już!

Już dosyć ci się tłuc
I próchnieć na Montmartrze.
Tu — ciało z miedzi, twardsze —
Nie umrzesz z suchot płuc,
Nie umrzesz z suchot płuc!

Co jeszcze pragniesz mieć?
Damy ci klomb, łaskawi,
Ślicznie cię deszcz ordzawi
I ozieleni śniedź,
I ozieleni śniedź!

IV.

Poeto, nad stan twórz,
Cały się w harfę zamień:
Na pierś ci zwalą kamień —

Mogilny głaz, i już,
Mogilny głaz, i już!

Z obczyzny zwiozą proch
Na dzień jubileuszu,
Dla radców animuszu,
By w tłumie wzbudzić szloch,
By w tłumie wzbudzić szloch!

Gdy radca s t a n u pan,
Nad wyraz idealnie,
I z serca mowę palnie,
W sam raz nam i w sam stan,
W sam raz nam i w sam stan!

Gors biały, czarny frak
I rzewny głos nobila
Przemówi: jak, do ila
Nam geniusza brak,
Nam geniusza brak!

Z utartych słów na miał,
Pan Tacki, lub Owacki
Nam powie, że Słowacki
Nad stan genialność miał,
Nad stan genialność miał!

Złożywszy Bogu dank,
Powrócą radcy stanu
Do zwykłych rzeczy stanu,
Stosownie do swych rang,
Stosownie do swych rang!

Uciszył naród szloch,
Zdjął krepę z kapeluszy.
W sto lat go znów poruszy
Spróchniały czyjś tam proch,
Spróchniały czyjś tam proch!

Ktoś umrze z suchot płuc,
Ktoś znowu na Montmartrze
W grób legnie................
. . . .
Łby najtwardsze —
Kamienne łby wam tłuc,
Kamienne łby wam tłuc!

DEKADENCYOMANIA.

Radzi sobie wzajem,
Dwaj jechali panowie,
Już w wieku, tramwajem,
(Po kopiejek siedem
Za kurs opłaciwszy).

— Cóż słychać? — pytał siwy
Pan.
— Źle — rzekł pan siwszy.
— Cóż tam?
— Ot, mam biedę:
Dzieci zdekadenciały...
— Zdeka?... Boże święty,
Jak u mnie!

— U państwa?
A to istny pomorek!...
I skąd te gałgaństwa?
Te, te — dekadenty,
Radco?
— Skąd? Z pijaństwa,
Z mózgów aberracyi,
Ze wstrętu do pracy i i...
I z instrumentacyi,

Z nut wyszukaności...
Dawniejeś wiersz przeczytał
I spał jak w kolebce:
Dzisiejszy wiersz złości.
Bo dawniej grały skrzypce,
Bas grał, trąby grały,
Grano jak Bóg przykazał,
W waltornie, w cymbały...
Dziś — wszystko bazgrały:
Duch, duch — waryacya,
Dekadenckie granie!...
— Racya, radco, racya.
— Tu wysiadam. No, moje!
— Moje uszanowanie!

MĄŻ I KOCHANEK.

Mąż — to amant zmuszony
Kochać przez parocha;
Kochanek — to mąż, który
Nie przysiągł, a kocha.

Mąż — kochanek potrzebny;
Kochanek — mąż zbytni;
Kochanek — to mazurek;
Mąż — to bochen żytni.

Chleb na codzień jeść — owszem:
W święto — wolisz ciastka, —
Więc, o pani! kochanka
Wpuść do swego gniazdka.

Mąż żonę, jak swą własność,
Często zekpa, zburczy, —
A kochanek? kochanek
Zawsze dobro-twórczy.

Mąż pantofle i szlafrok
Wdziewa od zaślubin,
A kochanek?... Jak kwiatek
Zawsze, jak cherubin.

Sam na sam być z kochankiem —
Raj, bez chmury, troski;
A z mężem samym na sam —
Toż to dopust boski!

Kochanek jest, jak drżąca
Na cięciwie strzała;
Mąż — kołczan pusty, który
Śpi i chce, bym spała.

Mąż, będąc przekonanym,
Że mu nie uciecze,

O żony ma humorach
Nie gorliwą pieczę.

Kochanek, że niepewny,
Co da jutro chwila,
Dziś pilnie się umizga,
Wdzięczy i przymila.

Mąż poza łożem, kuchnią,
Ani dba o żonę;
Kochanek jej wykłada
Sztuki wyzwolone.

Mąż — jok lód jest przy żonie,
Którą widzi ci dnia;
Kochanek — zawsze ogień,
Zawsze — jak pochodnia.

O pani! gdy cię wzruszył
Morał moich wierszy —
Kochanka jeśli nie masz,
Niech twój będę pierwszy.

Mąż będzie nam powszednią
Rolę grał natręta;
Ja będę twoim zbytkiem,
Szczęściem twem od święta.

Mąż będzie jak razowy
Chleba glon, bochenek;
Ja będę, jak mazurek,
Słodszy od rodzenek.

Choć będzie kwaśno patrzał
Mąż z podełba na nas, —
Ja będę twym owocem,
Słodkim — jak ananas.

Ja będę kształcił smak twój,
Dbał o duszy cele:
Mąż będzie obowiązek
Miał o twojem ciele.

Tak będziem w stanie czystym
Żyli, jak cherubi —
A gdy potrzeba zajdzie,
Mąż twój stan pogrubi.

O pani! Niech cię ujmie
Moich wierszy tkanka:
Jeżeli jeszcze nie masz,
Miej od dziś kochanka.

WENTA.

Jest obyczajem
Tu, że w adwencie
Światowe damy
Siedzą przy wencie.

Wenta to okres,
Gdzie dobroczynna
Dama, jak subjekt
W sklepie, jest czynna.

Więc stroi wdzięków
Swoich mamidło
I pieprz sprzedaje,
Książki i mydło.

Znajomych panów
Grono się kupi:
Ten poflirtuje,
Tamten coś kupi.

Damy oczęta
Robią najsłodsze:
Za to się biednym
Ludziom łzy otrze.

Każdy pan coś tam
Złoży na tacy,
Ażeby mogli
Istnieć biedacy.

Skąd ten obyczaj
Wentowy rodem
W następujących
Strofach wywiodę.

Przykład to świętej
Jest Katarzyny,
Która na cnót tak
Weszła wyżyny.

Mieszkała sobie
W miasteczku Sienie
I rozdawała
Ubogim mienie.

Raz ją zaczepił
Żebrak, gdy Święta
W swej portmonetce
Nie miała centa.

Co począć? Nędze
Bez datku minąć:
To znaczy brzydko
Z cnotą się minąć.

To znaczy złemu
Puścić korzenie.
Tak, było trudne
To położenie.

Przechodził tędy
Rycerz, więc Święta
Ku niemu zwraca
Słodkie oczęta.

Wesprzyj — powiada —
Rycerzu drogi!
Daj mi od butów
Złote ostrogi.

A rycerz: — Dam ci
Ostrogi złote,
Ale ty daj mi
W zamian swą cnotę.

Święta ni słowa
Już nie gadała,
I rycerzowi,
Co żądał, dała.

Było jej ciało
Jemu usłużne,
Lecz zarobiła
Na jałmużnę.

— Masz tu — powiada —
Żebraku drogi,
Zastaw, lub sprzedaj
Złote ostrogi.

Tak Katarzyna
Robiła Święta.
Od tego czasu
Datuje wenta.

Damy z swych wdzięków
Robiąc mamidło,
Sprzedają książki,
Pieprz, sól i mydło.

Ażeby zadość
Stało się cnocie,
Realizują
Czułość w banknocie.

Damom rumieniec
Kwitnie na cerze,
Gdy się znajomi
Zchodzą rycerze.

Rubli na tacę
Pięć i dwadzieścia
Rycerz dał, jak chce
Wola niewieścia.

Ale rycerze
Są też i tacy
Którzy ostrogi
Kładą na tacy.

ZAKOŃCZENIE.

Wszelkie zło pochodzi stąd,
Że bliźniego toczy trąd.
Za to my najoczywiściej
Dobrzy, zacniśmy i czyści.
Iks, Zet, Ygrek — licha wart;
W bliźnim A, B siedzi czart.
Tylko my możemy sami
Żyć za pan brat z niebiosami.
Wiedzieć chcesz, gdzie grzeszna chuć:
Na bliźniego oczy zwróć.
Że świat sobie źle poczyna,
W nim jest — w bliźnim twym przyczyna.
Gdy ci bliźnie zło dojadło,
Biegnij, spojrzyj się w zwierciadło.
Popatrz w własną swoją twarz,
I, jak ona śliczna, zważ.
Na twej twarzy napisano:
Sana mens in corpore sano —
W zdrowem ciele zdrowy duch:
Żeś zdrój cnót — zdań niema dwóch;
Że twa twarz w lustrzanem szkle
Nie wygląda wcale źle,
Więc podziwiaj swoje liczko,
Czytelniku, czytelniczko.

SPIS RZECZY.

Tom II.